wolnelektury.pl

Eliza Orzeszkowa

Szara dola

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ELIZA ORZESZKOWA

Szara dola

Z opowiadań prawnika

Ilekroć pamięcią przenoszę się w najodleglejsze lata dzieciństwa mego, przed oczyma memi, wśród najdroższych mi i najpiękniejszych wspomnień i obrazów, migoce zawsze biały, szeroki, tu i ówdzie zielenią porosły szlak drogi pocztowéj. Jak inni rodzą się nad brzegami rzeki jakiéjś, tak ja urodziłem się nad brzegiem téj drogi. Biegła ona wzdłuż wielkiego cienistego ogrodu, zdobiącego dwór wiejski rodziców moich, po obu stronach jéj rosły gęsto sadzone i bardzo już stare, więc wysokie i rozłożyste, brzozy, jarzębiny, klony i balsamiczne topole, a za drzewami żółciały pola, równe, rozległe, i perliły się wilgocią nizkie łąki, których wiecznie omglone skraje spływały z dalekim borem, kreślącym pod samém już niebem wielkie, siniejące półkole.

Drzewa przydrożne były wysokie i rozłożyste, ale droga była tak szeroką, że wierzchołki ich nie stykały się ze sobą wcale; owszem, pomiędzy niemi wysoko biegła wielka wstęga nieba, jakoby druga droga zwieszona nad tą, która sunęła po ziemi. W dniach pogody wstęga ta, ujęta w ramy gęstych, zielonych gałęzi, błękitną była i usianą ognistemi iskrami. Niekiedy żeglowały po niéj szybko gromady białych puszystych obłoków; niekiedy téż, w niepogodę, stawała się ona szarą i wyrzeźbioną w ciemne garby i wgłębienia chmur wielkich a leniwych; nocami zaś, oddalona zda się w niedościgłe okiem wysokości, stroiła się w gwiazdy, lub czarna, posępna, niema, wyglądała jak wejście do zwróconéj otworem ku ziemi niezgłębionéj otchłani. Po jednéj stronie, daleko, pod samym już skrajem widnokręgu, wznosiły się codziennie o zachodzie słońca zamki ogniste. Wierzchołki ich, umalowane purpurą i fioletem, rzucały na drogę łuny różowe, a złote podnóża rozlewały po polu morze blasków, które obijało się o stopy drzew przydrożnych i na każdém ich liściu składało iskrę. Północna zato strona drogi stanowiła z zachodnią sprzeciwieństwo zupełne. Tam, w najpogodniejsze nawet wieczory letnie, mglisto było i posępnie; pomiędzy dwoma rzędami drzew zwisał szmat nieba, głęboki a bezpromienny, niby zasłona, okrywająca daleką jakąś a tajemniczą krainę smutku, cieniów i milczenia.

Piękna droga ta, poważna i milcząca niekiedy, bywała téż często ożywioną wielce i ludną. W porze bowiem, w któréj koleje żelazne nie istniały jeszcze w kraju naszym, stanowiła ona główną arteryą komunikacyjną, przerzynającą wśród pól, wzgórz, lasów, miast i wiosek łono kilkuset milowéj przestrzeni, i dwoma końcami swemi dotykającą dwóch stolic. W dzień téż, czy w nocy, nie było prawie godziny jednéj, w któréj-by nie rozlegały się wśród niéj dzwonki pocztowe, turkoty kół, rżenie koni i gwary głosów ludzkich.

Było tam tedy miejsce pewne, tuż naprzeciw ogrodu naszego położone, gdzie rozstępowały się, gęsto gdzieindziéj rosnące, drzewa przydrożne, a śród dość znacznéj, wolnéj od nich przestrzeni, wznosiła się stacya pocztowa.

Był to dom niewielki, śnieżysto biały, z gontowym dachem, z kilku dużemi widnemi oknami, z gankiem, wspartym na czterech słupach i z dwóch stron ocienionym kratą zieloną, po któréj wiły się biało i liliowo kwitnące powoje. Nizkie zielone sztachety, za któremi wzrastały grube krzaki bzów, róż i jaśminów, oddzielały dom ten od drogi, po drugiéj zaś stronie jego znajdowało się wielkie podwórze, otoczone stajniami i wozowniami, a z jednéj strony dotykające dość obszernego ogrodu, który był na-pół warzywnym, na-pół owocowym. Daléj, o paręset kroków od pocztowego budynku, ogródkami otoczone stały nad brzegiem drogi domki pocztylionów i rzemieślników różnych; w cieniu kilku grusz dzikich, nigdy niegasnącemi, czerwonemi połyski błyskała kuźnia; za kuź-

nią zaś szkliła się, głębokim rowem z drogą rozdzielona, duża sadzawka, na któréj nieruchomą powierzchnią, wypływały rozstrzępione kielichy i długie, wązkie liście roślin wodnych, a u któréj brzegów siadywały żony pocztylionów i rzemieślników, pralnikami głośno o toń spokojną bijąc, dzieci czepiały się po kalinowych krzakach, a smutne brzozy płaczącemi gałęźmi muskały wilgotną murawę.

Wszystko to razem stanowiło rodzaj osady, porządnie zabudowanéj, ludnéj, czynnéj i ruchu pełnéj. Ale za sadzawką z jednéj strony, a ostatnim domkiem z drugiéj, rozpoczynały się znowu dwa gęste, wysokie szeregi brzóz, klonów i topoli, a śród nich biała droga, samotna już znowu, poważna i cicha, sunęła daléj ku téj stronie północnéj, gdzie nie strzelał nigdy promień żaden, a niebo spływało ku ziemi, ciężkie, szare, smutne.

Owóż, z obrazem pocztowéj stacyi i wszystkiego, co ją otaczało, w pamięci mojéj wiąże się ściśle wspomnienie człowieka, który, gdy tylko śród drogi zajęczał dzwonek i zaturkotały koła, zjawiał się na ganku białego domku, w mundur z błyszczącemi guzami urzędowo opięty i całą postać swą do urzędowéj sztywności i powagi nastrajający widocznie, ale zawsze bez powodzenia najmniejszego.

Był to nadzorca stacyi — Piotr Żminda.

Odkąd zapamiętać mogłem samego siebie, pamiętałem téż i Piotra Żmindę; objął on bowiem stanowisko swoje nieco przed mojém przyjściem na świat, a gdy miałem czternaście lat wieku i bawiłem się raz w pocztowym ogródku z młodszą o wiele córką Żmindy, Salusią, słyszałem, jak mówił on raz do żony rymarza, agrest z krzaków obierającéj:

— Ot, czy wié pani Jerzowa, że dziś to już wypada piętnastoletnia rocznica przyjazdu mego tutaj!

Na co pani Jerzowa, podnosząc z nad agrestów twarz pucołowatą i uśmiechniętą, odparła z ogromném zdziwieniem:

— Być nie może! a ot zdaje się, jakby to wczoraj było!

Potém zaś dodała.

— Daj Boże drugich piętnastu razem doczekać!

— Daj Boże! — zwykłym sobie, powolnym sposobem, odpowiedział Żminda; poczém zaraz, odrywając wzrok od wielkiéj georginii, którą lubując się widocznie, z nadzwyczajną starannością podpierał i podlewał, spojrzenie swe zatrzymał na złotowłoséj główce Salusi, w téj chwili właśnie zajętéj wraz ze mną okładaniem kamuszkami fantastycznego jakiegoś klombu i, uśmiechając się, rzekł:

— Za piętnaście lat! ho, ho! moja pani Jerzowa! wiele wody przez ten czas upłynie! moja Salusia będzie już pewno zamężną!

— Pewno — potwierdziła pani Jerzowa i dodała — da Pan Bóg, że i wnuki już będą!

Na te słowa Piotr Żminda, który pod stopy georginii swych lał z konwi perlisty strumień wody, uśmiechnął się tak już widocznie i tak rozpromienionemi oczyma w przestrzeń spojrzał, że, jakkolwiek jeszcze byłem dzieckiem, pomyślałem sobie, iż musiał się czegoś bardzo ucieszyć.

— Tak, tak! pani Jerzowa — mówił daléj, nachylając się i wyrywając z klombu niepotrzebną jakąś trawę — może Bóg pozwoli, że będę kiedyś dziaduniem!

Przy ostatnim wyrazie zaśmiał się głośno. Kobieta, zrywająca agrest, zawtórowała mu śmiechem i, coraz daléj zagłębiając się w kolczate krzaki, zawołała:

— Widzi mi się, że jegomość będziesz już wtedy dobrze stary!

Żminda wyprostował się.

— Stary? — powtórzył — a no, tak! za piętnaście lat będę miał coś więcéj, niż sześćdziesiątkę! To i cóż? albo to taki wielki strach na starość? Kiedy człowiek uczciwie całe życie przebył i nic złego na sumieniu nie ma, to i siądzie sobie, siwiuteńki jak gołąb', u ciepłego pieca, a córka i zięć usługiwać mu będą. Wnuków tylko na kolanach trzymaj, cacka im z drzewa strugaj i pilnuj, aby które nosa sobie gdzie nie stłukło. To w zimie. A w lecie... człek sobie na słonko wylezie i, ot do tego drzewa, które sam sadził i wyhodował, stare plecy przyparłszy, pacierze za dzieci mówić będzie...

Takiemi były marzenia o starości Piotra Żmindy.

Utkwiły mi w pamięci z tego głównie powodu, że gdy on wypowiadał je głośno, pani Jerzowa była już daleko, kędyś w końcu ogrodu, a Żminda zdawał się mówić do samego siebie. W téj saméj jednak chwili, z dala, z dala jeszcze, odezwał się na drodze dzwonek pocztowy. Żminda z pośpiechem wielkim postawił konew na ziemi i, biegnąc ścieżką, ku

podwórzu wiodącą, zdejmować już począł szary swój płócienny, ziemią posypany, surdut. Na odgłos dzwonka zerwała się téż z ziemi mała Salusia i pobiegła za ojcem. Wiadomém to bowiem było powszechnie, że ojciec i córka nie rozstawali się z sobą ani na chwilę. Jakoż gdy, w kilka minut potém, Piotr Żminda wyszedł na ganek pocztowego domu, już w mundur swój ściśle opięty i z niezmierną powagą witający wysiadającego z bryczki podróżnego jakiegoś — mała Salusia stała za ojcem i w ściśniętéj piąstce trzymała jeden z błyszczących jego guzów. Ile razy zwrócił się w jaką stronę, dziecię, obracało się z nim razem, tak jak on powolne, prostujące się i poważne.

Powierzchowność Żmindy przedstawiała szczególność pewną, rzadko pomiędzy normalnie rozwiniętymi ludźmi spotykaną. Wysoki, barczysty i bardzo silny na pozór, posiadał on cerę twarzy żółtawo-bladą i chorobliwie jakby nabrzmiałą. Oczy jego, okrągłe, wypukłe, z błękitną, łagodnie patrzącą źrenicą, miały wyraz sennego jakby omdlenia, na całą fizyognomią jego rzucający cechę pewnéj głupowatości. A jednak nie można było wcale nazwać go głupcem. Przeciwnie, obowiązki, do miejsca, które zajmował, przywiązane, pełnił on z wielką punktualnością a nawet pedanteryą, rozmawiając zaś z ludźmi mówił powoli bardzo, z widoczném wysileniem szukał w głowie swéj myśli i wyrazów, nigdy jednak nie wypowiedział nic niedorzecznego, lecz przeciwnie wyrażał się jasno i rozsądnie. Cała zresztą postać jego miała pozór ociężały i leniwy. Patrząc na niego, można-by rzec, iż był próżniakiem i ospalcem; a przecież pracował nieustannie, to nad księgami swemi z piórem w ręku, to w ogrodzie z motyką, nożycami i konwią; wstawał ze snu przed wschodem słońca, a nocami sypiał tak czujnie, że każde odezwanie się dzwonka u pocztowego zajazdu znajdowało go obudzonym i w mundur urzędowy opiętym.

Chorobliwe to, głupowate i senne wyglądanie człowieka silnie zbudowanego, rozsądnego i pracowitego, zwracało ciekawą uwagę mego ojca, który lubił Żmindę, a jako właściciel gruntu, na którym stały budynki pocztowe, miewał z nim częste i życzliwe stosunki.

Pamiętam wybornie, jak trzy razy w tygodniu, w porze, w któréj cała rodzina nasza zgromadzała się dokoła śniadania, Żminda z punktualnością zegarka wchodził do sali jadalnéj, przynosząc ojcu memu nadeszłe pocztą listy i dzienniki. Przynoszenie to nie należało bynajmniéj do obowiązków jego, lecz było tylko szczególnym ze strony jego objawem szacunku i życzliwości, dla ojca mego uczuwanéj. Już to w ogólności dla obywateli wiejskich Żminda wielkie okazywał uszanowanie. Wyraz *obywatel* posiadał w umyśle jego znaczenie idealnéj jakiéjś a wszechstronnéj nad innymi ludźmi wyższości. Nie idzie przecież za tém, aby wobec ludzi tych, tak bardzo przez się poważanych, był on zbyt pokornym i uniżonym. Owszem, barczysta i ciężka postać jego nie zginała się nigdy ukłonami nizkiemi, z ust poruszających się powoli nie wychodziły nigdy żadne prośby ni pochlebstwa. Miał on zawsze postawę i minę człowieka, który wobec nikogo nie poczuwa się do winy żadnéj i od nikogo niczego wcale nie potrzebuje. Tylko głos jego stawał się miększym jakoś i niższym, niż zwykle, gdy rozmawiał on z *obywatelem*, a żółtawe i nabrzmiałe policzki rumieniły się lekko gniewem, ilekroć usłyszał zarzut jakiś, komukolwiek do klasy téj należącemu, czyniony.

Owóż, razu pewnego, gdy, w dniu przybycia poczty listowéj, Żminda, jak zwykle, wszedł do naszéj sali jadalnéj z grubym pakietem listów i dzienników w ręku, ojciec mój, zaprosiwszy go do stołu, przy którym siedzieliśmy wszyscy, troskliwie zapytał:

— Źle mi coś dziś wyglądasz, panie Żminda? czy nie jesteś słabym?

— Dziękuję panu — odparł Żminda — ale ja zdrów jestem zupełnie, tylko przychodzą na mnie takie dni jakieś, że w uszach mi szumi, jak we młynie, i ręce trzęsą się trochę... ale to bywa przez kilka dni tylko... późniéj przechodzi...

— Ale od czegóż-by to było — zapytał mój ojciec.

Żminda uśmiechnął się zwykłym sobie uśmiechem, w którym obok zupełnego spokoju było jednak coś smutnego, i odpowiedział zwolna:

— Ja myślę, proszę pana, że to od tego maku...

— Jakto od maku? — zapytaliśmy chórem...

— Widzą państwo — mówił, uśmiechając się wciąż nadzorca stacyi, — bo ja, dzieckiem będąc, wiele bardzo maku jadłem.

— Ależ poco? dlaczego?

— Długa to historya.

— Opowiedz nam ją, panie Żminda — rzekł mój ojciec.

Żminda nie miał nic do odmówienia *obywatelowi*, a jeszcze takiemu, z którym, jak z ojcem moim, w blizkich był i dawnych stosunkach.

Po dość długiém więc milczeniu, w czasie którego z trudnością widoczną skupiał myśli i zbierał w głowie swéj wyrazy, zwrócił na ojca mego spojrzenie oczu swych wypukłych, sennych trochę a bardzo łagodnych, i zaczął w ten sposób:

— Pan dobrodziéj wié, że ja pochodzę z okolicy szlacheckiéj Żmindów, co to o trzy wiorsty ztąd...

— Wiemy, wiemy! — odezwaliśmy się oboje z siostrą, szlachecka okolica bowiem, o któréj mówił Żminda, przywoływała nam na pamięć bardzo miłe wspomnienia. Mijaliśmy ją zawsze, ilekroć z rodzicami i gośćmi jechaliśmy do poblizkiego lasu na majówki i grzybobrania, a składające ją domki szlacheckie, nizkie, szare, otoczone ogródkami, w których kwitły nagietki i piwonie, tkwiły nam dobrze w pamięci.

— Otóż — prawił dalej Żminda — ojciec mój, świeć panie nad jego duszą, posiadał w okolicy kawał gruntu niewielki i lichy. Piaski to były... kartofle tylko i gryka dobrze na nich rosły, żyto zaś marniało, a o pszenicy to tam u nas i słychu nigdy żadnego nie było. Wszelako, dopóki żyła matka moja, świeć panie nad jéj duszą, bieda choć była, ale nie tak to bardzo wielka. Ludzie gadają, że nieboszczka moja matka doskonałą była gospodynią, ale ja o tém ze słyszenia tylko wiem, od ludzi, bo Pan Bóg ją do chwały swojéj zabrał wtedy, kiedy ja rok tylko życia miałem. Dwóch starszych braci miałem i siostrę, ale poumierali wszyscy. Po śmierci matki zostałem u ojca sam. Co tu robić mężczyźnie z takiém małém dzieckiem, a i z gospodarstwem także? Pan dobrodziéj wié, że w szlacheckiéj zagrodzie bez gospodyni, ani rusz. Tedy — w rok niespełna po śmierci nieboszczki matki, ojciec ożenił się. Wziął sobie ekonomską córkę z Wojatycz od pana Woińskiego. Ludzie mówią, że hoża to była kobieta, pracowita i nawet edukowana trochę! Ale może i dla téj-to edukacyi, z przeproszeniem pańskiém, licha wartéj zapewne, ubogi stan szlachecki do smaku jéj nie przypadł. Okrutnie była zawsze zła. Robiłać to, robiła ona wszystko, co trzeba było, ale z wyrzekaniem, fukaniem i *złowaniem* wielkiém. Mnie to tak już od razu znienawidziła. Po prawdzie téż dziecko było ze mnie krzykliwe podobno i żywe, jak konik polny. Cały dzień bywało pełzam, albo skaczę po izbie, pod nogi ludziom włażę i naprzykrzam się starszym ogromnie. Nocami zaś budziłem się często i krzyczałem na całą chatę, sam nie wiedząc czego, ot zwyczajnie, jak dziecko, któremu w głowie czy sercu majaczyła tęsknota jakaś za matczyną piersią, coby go w ciemnościach nocnych ku sobie przygarnęła.

Macocha płaczów tych moich i krzyków nocnych znieść nie mogła. Mówiła, że jéj to zdrowie odbiera, choć Bogiem a prawdą, kiedy Bóg dał jéj własne dzieci, a krzykliwsze jeszcze ode mnie, nic jéj wcale wrzaski ich nie szkodziły. Owszem, im więcéj krzyczało, tém więcéj je całowała i na rękach kołysała. Ale ze mną, zwyczajnie jak z pasierbem, było inaczéj. Ażebym jéj nocami nie budził, dawała mi co wieczór napój jakiś, który ja chciwie piłem, bo zasłodzony był i smaczny. Czy zaś zgadnie pan dobrodziéj, z czego napój ten był zrobiony? Ot dowiedziałem się późniéj już, że z maku i konopi. Bywało, jak napoi mię nim macocha, to śpię jak kamień przez noc całą, a i z rana jeszcze obudzić się nie mogę, choć w chacie ruch wielki, w piecowisku ogień trzaska, woda przy ogniu kipi, dziewka kartofle skrobie, ojciec drzewo rąbie, a macocha wieprza karmi, zrzędzi i wyklina. A jak bywało ocknę się już z tego snu makowego, to głowina jakby kamień ciężka i przez dzień cały nie hasam już i nie hałasuję, jak dawniéj, ale cichutko, niby trusia, siedzę pod piecem, oczy wytrzeszczając, a wszystko jak przez mgłę jakąś widząc. Było tak długo — miałem już pięć lat może, kiedy macocha, krzyku mego lękając się, ciągle mię tym sposobem do cichości przymuszała. Ale nie na tém jeszcze koniec historyi o maku. Jadłem ci ja go jeszcze późniéj dużo, a to już z własnéj niby woli — czyli raczéj — z głodu. Jeść mi nie dawała. Wyjdzie bywało w pole do żniwa i dzieci swoje ze sobą zabierze, a dla nich i dla siebie garnki pełne żywności niesie. Ale mnie zostawiała w chacie bez okruszyny pożywienia jakiegokolwiek. Więc ja, w koszulkę grubą odziany, boso — do ogrodu! A w ogrodzie co? Gruszek i jabłek u nas nie było, tylko wiśni moc wielka. Ale wysoko one były i prędko kończyły się. Marchew albo burak, wykopany z zagonu, rzecz to dobra, ale i kopać niebardzo miałem siłę, i bałem się okropnie, aby dziury w zagonie macocha nie zobaczyła i nie domyśliła się, jaki to kret ją wykopał. Więc ja do maku. A maku siała

ona wiele w ogrodzie i potém drogo sprzedawała. Włażę sobie tedy pomiędzy gęsty las łodyg makowych i leżę na wąziutkiéj miedzy godzinami całemi, a co moment makówkę dojrzałą zerwę i ziarna z niéj do ust sobie wsypię. Nie wszystkie one dojrzewały od razu. Były takie, co kwitły jeszcze, wtedy gdy inne żółciały już i schły. Otóż mnie i kwiaty podobały się bardzo. Już to zawsze lubiłem kwiaty. Leżę bywało w gęstwinie i patrzę, jak przez zieloność niebo błękitne prześwieca, a na niém migają wiatrem poruszane różowe i ponsowe strzępiaste maki. Czasem, jak wiatr mocniéj powieje, to który z nich się osypie i deszczem niby mięciutkich liści twarz mi zarzuci. Ja wtedy, przestawszy patrzéć na niebo i na czerwone maki, rękę wyciągam i znów makówkę zrywam. Zrywałem czasem i niedojrzałe, ale, że jeść chciałem potężnie, więc i tę białą miazgę, co to, nim ziarna zrobią się, napełnia łupinę — zjadałem...

— Ależ to szczęście prawdziwe, żeś się pan temi makówkami nie otruł — przerwał ojciec mój, którego opowiadanie Żminды na-pół śmieszyło, na-pół rozrzewniało.

— Nie przyszło jakoś do tego — odpowiedział z uśmiechem, — ale ot pewny jestem, że mi te traktamenta macoszyne na całe życie pamiątkę zostawiły. Ten szum w uszach i to drżenie rąk od najpiérwszéj młodości, to przychodzi mi, to przechodzi. Przytém już i tę moję żywość dawniejszą na zawsze straciłem, i myśli w głowie rozlatują się czasem niby suche liście, tak, że nim złapię którą, to się dobrze namęczę. Ale ludzie mówią, że i tak dobrze; bo mogłem od tych makowych wieczerzy i obiadów całkiem rozum stracić. Dzięki Bogu i za to, że mi go choć tyle zostawił, iż żyć uczciwie mogę, a żonę i dziecko pracą moją wyżywić...

Rzekłszy to, Żminda, powstał i, zapiąwszy guzy mundura aż po samą szyję, oddawał ojcu memu ukłon pełen uszanowania, ale tak poważny, jakby go myśl w ostatnich wyrazach zawarta napełniała uczuciem spokojnéj i pewnéj siebie osobistéj godności.

— Dlaczego, panie Żminda, nie przyjdziesz do nas kiedy na dłużéj, wieczorem może, na herbatę i parę godzin pogawędki? — uprzejmie wymówił mój ojciec.

Żminda ukłonił się powtórnie, widoczne zadowolenie twarz mu rozkwieciło.

— Dziękuję, panu dobrodziejowi, z całego serca dziękuję! — odparł. — Radbym bardzo... byłby to dla mnie honor wielki... ale nie mogę. Pan dobrodziéj wie... obowiązek... służba! Jak dzwonek odezwie się na gościńcu, stawać muszę do obowiązku mego, jak żołnierz do broni!

Wyrzekł to z nadzwyczajném przejęciem się, senne oczy jego nawet błysnęły żywiéj, jakby pod wpływem zapału.

— No, powiedz mi, panie Żminda — uśmiechając się mówił mój ojciec — czy choć-by raz jeden przez te lat piętnaście nie stawiłeś się do apelu — to jest nie przywdziałeś munduru i nie wyszedłeś na spotkanie przybywającego gościa?

Żminda uczynił rękoma i ramionami poruszenie, jak na flegmatyczny i ociężały układ jego, nader żywe.

— Ani razu! — zawołał — ani razu nie zdarzyło mi się nic podobnego! było-by to z ubliżeniem dla mnie!... podróżnego spotkać... pieniądze za *prohony* odebrać... w księgę zapisać, co należy, toż to obowiązek mój, z którego ja, żona moja i dziecko chleb jemy..! Był-bym, panie dobrodzieju, nie przymierzając, złodziejem, gdybym chleb jadł, a obowiązku mego nie spełniał.

Po tych słowach, Żminda skłonił się raz jeszcze i stanowczo już pokój miał opuścić, gdy uchyliły się drzwi od przedpokoju i nieśmiało trochę wyjrzała przez nie głowa kobieca, młoda, ładna, strojna w czarne warkocze i czepeczek z żółtemi wstążkami.

— Najpokorniéj przepraszam łaskawych państwa — wymówiła łagodna główka ta dość dźwięcznym, trochę tylko zbyt ciénkim i wypieszczonym głosikiem — po tysiąc razy przepraszam, ale przyszłam zobaczyć, czy niéma tu mojéj Saluni!

— Saluni powiedziałem, żeby czekała na mnie na dziedzińcu — zwracając się ku wyglądającéj ze drzwi głowie kobiecéj, wymówił Żminda, poczém, wyraźnie zakłopotany, postąpił ku drzwiom i ciszéj, tonem nieśmiałego upomnienia, rzekł:

— Poco tu zawsze chodzisz za mną, Emilko? — uprzykrzasz się państwu...

— Ale owszem, owszem! — zawołała grzecznie moja matka — prosimy panią Żmindową, bardzo prosimy! Przyszły tu właśnie nowe dzienniki mód, może pani zechcesz popatrzeć na nie z nami!

Pani Emilia Żmindowa nie dała sobie po dwa razy powtarzać zaproszenia tego. Wbiegła do pokoju i kilku fertycznemi skokami była już przy mojéj matce, nad któréj ramieniem pochyliła się zbyt nizko.

Nie widziałem w życiu sprzeciwieństwa większego, jak to, które zachodziło pomiędzy Piotrem Żmindą a jego żoną. Malutka, zgrabna, nadzwyczaj żywa, szeleszcząca zawsze krochmalnemi sukniami i barwnemi wstążkami czepeczka, ze ściągłą swą twarzyczką, bladawą i namiętną, z czarném okiem, iskrzącém się i ruchliwém, Emilia Żmindowa wyglądała przy swym barczystym, ciężkim, powolnym mężu, jak motyl, fruwający dokoła łopuchowego liścia, jak płomyk, wijący się i tryskający iskrami obok ciężko toczącéj się i mętnéj nieco wody. Mówiła wiele i prędko; śmiejąc się, ukazywała z za warg różowych dwa rzędy perłowych ząbków. Do dworu przybiegała często. Wabiły ją tutaj stroje matki mojéj, którym dość napatrzyć się nigdy nie mogła i które naśladować usiłowała; dzienniki mód, które wprawiały ją w zachwyt niewymowny; najbardziéj zaś może spojrzenia i ukłony młodych oficyalistów, których po drodze spotykała na dziedzińcu i u oficyn, a których hołdami nie gardziła bynajmniéj.

Pretextem, którym posługiwała się najczęściéj, aby wejść do pokojów dworskich, było dowiadywanie się o Salusię. Skoro jednak raz znalazła się obok mojéj matki, z którą rozmowa i znajomość pochlebiały jéj niezmiernie, a w dodatku ujrzała leżące na stole wzory modnych ubiorów, przestawała troszczyć się o dziecko, szczebiotała, zachwycała się i całowała bez końca ręce matki mojéj, która lubiła ładną jéj buzię, bawiła się nią trochę, a przez wzgląd na uczciwego jéj męża, okazywała jéj wiele uprzejmości.

I tym razem także pani Żmindowa, usiadłszy na brzeżku krzesła i, niby wachlarzem, chłodząc zmęczoną twarz swą cieniutką płócienną chusteczką, głośne bardzo i nieco piskliwe wykrzyki wydawała na widok dwóch, na żurnalu wymalowanych, bombiastych i barwistych sukien.

Żminda zaś, opuściwszy sień domu, spotkał się natychmiast ze swoją Salusią, która oczekiwała na niego, cichutko i nieruchomie u jednéj topoli stojąc i gruby pień drzewa rączkami obejmując. Ujrzawszy ojca, dziecię nie rzuciło się ku niemu w poskokach i z okrzykiem, ale podeszło do niego zwolna, milcząc, i piąsteczką za jeden z guzów munduru jego pochwyciwszy, szło daléj już z nim razem, z tyłu nieco trzymając się i drobnemi stopkami, ładnie obutemi, szybko po murawie dziedzińca przebierając. Zaledwie jednak para ta połowy dziedzińca dosięgnęła, gdy w oddali o pół wiorsty, a może i o wiorstę jeszcze, jęknął kędyś dzwonek pocztowy. Pod stopy Żmindy jakby kto nagle minę podłożył, tak żywo podnosić je zaczął z nad ziemi. Śpieszył, biegł, śpieszyło i biegło za nim dziecię, ale, szerokiemu krokowi jego nadążyć nie mogąc, wypuściło z rączki guzik ojcowski i stanęło, jak wryte, ust nie otwierając, tylko oba ramiona powolnym ruchem wyciągając za ojcem. Można-by rzec, iż pomimo pośpiechu, Żminda uczuł oderwanie się od niego dziecka, bo, nie przystając jednak ani na chwilę, zwrócił się, pochwycił je na ręce i, z tym ciężarem już biegnąc szybko a ciężko, zniknął wnet w wiodącéj ku pocztowéj stacyi ogrodowéj alei.

Pani Żmindowa tymczasem nie myślała wcale o mężu i dziecku i ani słyszała dzwonka, który bardzo wyraźnie jednak dawał się słyszéć w pokoju, gdzieśmy siedzieli wszyscy.

— Ach! pani moja droga! — mówiła — splatając ogorzałe lecz małe i zgrabne swe rączki — pani moja droga! jakie to wszystko ładne! jacy to szczęśliwi ludzie, którzy żyją na takim wielkim świecie i tak ładnie mieszkać i ubierać się mogą!

Myśl o wielkim świecie nasuniętą została pani Żmindowéj przez wielki arkusz żurnalowy, przedstawiający salon, pełen festonów jakichś kwiatów, taburetów i balowo przystrojonych, ckliwo uśmiechających się figurek.

Matka moja, która, o ile mogła, usiłowała miarkować płochość i zalotność małéj kobietki, filozoficznie odparła:

— Nie wierz w to ani trochę, moja pani Żmindowa, ażeby ludzie, żyjący na wielkim świecie, szczęśliwymi koniecznie być mieli. Ja, co znam świat ten, mogę cię upewnić, że, w wiejskiéj ustroni swéj i w skromnym swym bycie, jesteś bez porównania szczęśliwszą od niejednéj wielkiéj damy.

Czarne oczy Żmindowéj zamigotały żywo. Lekki rumieniec gniewu, czy rozżalenia, oblał bladawe jéj policzki.

— Pani droga! — szepnęła z westchnieniem — a gdzież to szczęście moje? Młodość całą przesiedzieć tak w kącie zapadłym i świata Bożego nie widzieć... czy to miło? A kiedy jeszcze przypomną sobie przeszłość i pomyślę, jak to u ojca mego bywało... kim byłam, a kim teraz jestem!

— Jesteś żoną rozsądnego i uczciwego człowieka, którego lubimy i szanujemy wszyscy — pochwyciła moja matka.

Coś na kształt nerwowego stłumionego śmiechu, czy łkania, wstrząsnęło szczuplutką postacią kobiety. Pałające oczy jéj przykryły się ciemną długą powieką.

— Uczciwy to on, pani moja... — szeptała coraz ciszéj — uczciwy i dobry człek... szanuje mię... ani słowa przeciw temu rzec nie mogę... alem ja obywatelska córka, pani droga... lepsze czasy znałam... w innéj zupełnie pozycyi byłam... Przytém... ośmnastu lat nie miałam, kiedy mię wziął, sam ich czterdzieści z czubem mając...

— Obywatelską córką jesteś, to prawda — perswadowała moja matka — ale ojciec twój nie był nigdy bogatym i teraz to już wyobrażasz sobie tylko, że tam u was takie świetności były. Folwarczek dziesięciochatowy, na którym sześcioro rodzeństwa siedzi, nie jest wcale bogactwem żadném...

Słuchając słów tych, Żmindowa zacięła kształtne swe, blado różowe wargi. W téj chwili cała drobna twarz jéj przybrała wyraz na-pół gniewnego, na-pół bolesnego rozjątrzenia. Zdawało się na razie, że wybuchnie gniewem czy płaczem; powściągnęła się jednak i tylko przez zaciśnięte zęby szepnęła:

— Zawsze to jednak, co obywatel, to nie jakiś pocztylion...

— Mąż twój nie jest przecież pocztylionem...

— Ale był nim przez lat 15! Wszyscy ludzie pamiętają, jak biegał po mieście, listy roznosząc...

— Tém większy to zaszczyt dla niego, że z biedy wielkiéj wybrnąć potrafił a teraz wcale przyzwoite i korzystne zajmuje miejsce...

— E! pani droga! dźwignęli go dobrzy ludzie. Pan Woiński wziął go z okolicy od macochy, co go biła i głodem morzyła, do szkół go oddał i do kancelaryi pocztowéj, a potém protegował... na moję biedę...

Im dłużéj trwała rozmowa ta, tém silniéj zaciskały się zgrabne i małe, na kolanach złożone, ręce Żmindowéj. Mówiła prędko, ale głosem stłumionym i ciężkim. Widoczném było, że z całéj siły hamowała rozrywający pierś jéj wybuch głosu.

Matka moja patrzała na rozjątrzoną kobietę z litością i niezadowoleniem.

— Wierzaj mi, kochanko — rzekła z powagą — iż powinnaś zapomnieć o swém byłém obywatelstwie i pogodzić się ze swym losem...

— Pogodzić się! — z ciężkością szepnęła kobieta. — Trudno! czy ja właśnie kochałam go, gdym szła za niego?

— Po cóż więc szłaś?

— Chleba nie miałam, pani moja! źli bracia z domu wypędzili... żeby ich tak Pan Bóg od chwały swojéj odpędził!...

— Wstydź się! wstydź się, Emilko! — zawołała moja matka — braci rodzonych przeklinać! czy wiész, że to okropne! i nie dowodzisz tém wcale téj pięknéj edukacyi, którą tak chwalisz się zawsze. Nie spodziewałam się, abyś do tego stopnia nie lubić mogła swego uczciwego męża...

Matka moja nie domówiła jeszcze tych wyrazów, gdy Żmindowa osunęła się z krzesła i, tuląc do kolan jéj głowę swą, strojną w żółty czepeczek, spazmatycznym wybuchnęła płaczem. Pękły nakoniec w piersi jéj wszelkie tamy, wolą stawiane, i po półgodzinném powściąganiu się, nerwowa ta i namiętna natura wybuchnęła łzami i wykrzykami.

— Pani moja! — wołała, łkając — nie gniewaj się na mnie! ja panią kocham i szanuję jak matkę! wszystko przed nią powiedzieć gotowam! Ja nie wiem czasem sama, co się ze mną dzieje! Na cały świat zła jestem! Szatan jakiś siedzi we mnie! Czasem uspokoję się trochę, ale znowu przychodzi taki dzień, że gdyby nie bojaźń sądu Bożego, to-bym się na piérwszém lepszém drzewie obwiesiła! Cóż ja na to poradzę, że mi z nim życie obrzydło! To wół, pani droga! to muł! taki stary i ciężki. Nim on krok jeden zrobi jabym pół świata obleciała; nim słowo wymówi, jabym całe kazanie księdza proboszcza na pamięć wyrecytowała! Ognia z wodą nie pogodzić, pani droga! serca młodego w kajdany nie okuć! Trudno!

— A dziecko? — szepnęła moja matka, — wszak masz dziecko, Emilio!

Żmindowa, siedząc wciąż na ziemi, łzy z twarzy ocierała.

— Dziecko! — powtórzyła cicho, — do niego podobne! ni to żyje, ni to nie żyje! Taki sam muł z niéj będzie, jak i ojciec!

Przez dobry kwadrans jeszcze matka moja napominała i do upamiętania się wzywała klęczącą u kolan jéj kobiétę; a gdy nakoniec, odwołana przez kogoś z domowych, pokój opuściła, Żmindowa podniosła się z ziemi i, z szelestem krochmalnéj sukni, gwałtownie, we wzburzeniu wielkiém i widocznem, wbiegła w prowadzącą ku pocztowéj drodze, ogródkową aleę. Tam zaczęła iść powolnym i chwiejącym się krokiem. Spoglądała niekiedy w niebo. Wzdychała. Cała drobna postać jéj zdawała się być w onej chwili wcieleniem głębokiéj melancholii i nieuleczalnéj tęsknoty.

Ale kroki powolnéj a smętnéj kobiéty oddawna już snadź śledzone były przez Wawrzyńca Śnidkę, prowentowego pisarza naszego. Był to bardzo przystojny, a bardziéj jeszcze czuły kawaler, z wypomadowanemi do obrzydliwości kędziorami, z miodowo-słodkim wzrokiem i z turkusowym pierścieniem na palcu. Poczciwy zresztą chłopak ten dzielnie dosiadał konia, tańce passyami lubił, wiersze pisał, a w poetycznym nastroju ducha swego, nie mogąc znieść prozaicznego imienia: Wawrzyniec, prosił, a komu mógł i rozkazywał, aby go nazywano panem Laurentym.

Owóż widziałem z dala, jak pan Laurenty u końca ogrodowéj alei zaszedł drogę kobiécie, idącéj smutnie i powoli, i z pełnym gracyi ukłonem uchylił przed nią zgrabną czapeczkę. Ona odpowiedziała mu ukłonem i uśmiechem. Jakby za dotknięciem czarnoksięzkiéj różdżki, twarz jéj z ponuréj stała się ożywioną i zalotną. Z furtki ogrodowéj wyszli razem na drogę pocztową, a nie upłynęło dwie minuty, jak za ogrodowemi sztachetami brzmiał w letniém rozsłonecznioném powietrzu dźwięczny, przeciągły, zalotny śmiech kobiecy.

Jakiemikolwiek jednak były uczucia dla męża ładnéj pani Emilii, Żminda zdawał się o nich nic wcale nie wiedzieć. Obchodził się on z nią z tą poważną łagodnością, która cechowała go ogólnie w obejściu się z ludźmi, niekiedy nawet wyglądał wobec niéj na-pół jakby nieśmiałym, na-pół nią dumnym. Poszanowanie, jakie miał dla niéj, dochodziło nawet do tego stopnia, że, aby oszczędzić jéj trudów wszelakich, trzymał służącą, co przy malutkiém gospodarstwie i niewielkich dochodach stanowiło już nawet pewien rodzaj zbytku. Wysokie to uszanowanie spokoju jéj i dobrobytu miało ten skutek, że pani Emilia całe Boże dnie i całe okrągłe lata nic a nic nie robiła. Ojciec mój, który, jak wszyscy zresztą, wiedział dobrze o próżnych i niebezpiecznie gwałtownych usposobieniach młodéj kobiéty, rzekł raz do Żmindy:

— Dlaczego nie zachęcisz pan żony swéj do zajęcia jakiego? Bezczynne takie przesiadywanie na ganku lub w oknie domu i bieganie ustawiczne po drodze i sąsiadach niebezpieczném być może dla młodéj i żywéj kobiéty.

Żminda zdumionemi oczyma spojrzał w twarz ojca.

— Niebezpieczném? — powtórzył. — A jakież to może być niebezpieczeństwo, proszę pana? — Uśmiechnął się i dodał:

— Alboż to dziecko? w sadzawce przecież nie utopi się...

— Zawsze jednak przykładniéj było-by i korzystniéj, gdyby zajęła się choć trochę gospodarstwem, szyciem...

Żminda namyślał się chwilę.

— Nie, proszę, pana, — odparł zwykłym sobie powolnym sposobem, — ja jéj do roboty zmuszać nie mogę... obywatelską córkę wziąłem... szanować ją powinienem... Przytém, proszę pana, młoda to kobiéta... ja stary... niech-że choć wygodę a spokojność ma przy mnie!...

Najlżejszy cień zazdrości lub podejrzenia nie powstał mu nigdy w umyśle. Śmieli się z niego ludzie po cichu, albo litościwie wstrząsali głowami; on sam jednak czuł się widocznie uszczęśliwionym, ile razy fertyczna i zwinna żona jego bawiła kogoś z przybyłych na stacyą wykwintnych podróżnych, wesołym a niepozbawionym wdzięku szczebiotem. W czasie, gdy mąż jéj sprawdzał *podorożną*, wpisywał do książki otrzymane pieniądze i strzegł porządku a pośpieszności w zaprzęgu koni, pani Emilia w gościnnych pokojach częstowała gościa herbatą i rozmową. Zabawiany w ten sposób gość, jeżeli szczególniéj

młodym był i wesołym, nie śpieszył się z odjazdem, a zdarzało się nieraz, że, odjeżdżając, nakoniec przyjaźnie rękę Żmindzie podawał, zapowiadał, że wkrótce znowu stronami temi przejeżdżać będzie i winszował mu porządku, w jakim utrzymać umiał stacyą, nad którą, na całéj długości drogi, nie było porządniejszéj, gościnniejszéj i miléj położonéj. Pochwały te uszczęśliwiały Żmindę.

— Już to, — mawiał po odjeździe grzecznego gościa, — już to, co prawda, to prawda, że takiéj stacyi, jak nasza, chyba na całym świecie niéma. Bo to i czysto u nas, i porządnie, i grzecznie. Jeżeli gość żąda pośpiechu, jesteśmy zawsze w możności odprawić go prędko, a jeżeli nie, to i zabawić go przyjemną rozmową umiemy.

Przy ostatnich słowach, senny wzrok jego przybierał wyraz figlarności i skierowywał się ku pani Emilii. Zbliżał się do żony i grubém ramieniem obejmować próbował cienką i giętką jéj kibić. Ale p. Emilia żywo i ze stłumioném na ustach syknięciem uchylała się od téj pieszczoty małżeńskiéj, i lekka, szeleszcząca fałdzistą suknią, umykała przez sień, w głąb' mieszkania. Żminda poruszenie to żony brał zwyczajnie za żart i pustą swawolę, a usłyszaną od gościa pochwałą stacyi w niezwykle dobry humor wprawiony, puszczał się niekiedy za uciekającą w swawolną gonitwę. Kiedy zaś z postacią swą barczystą i grubą, w ciasny mundur jak w futerał opiętą, z rozstawionemi ramionami i szerokim uśmiechem śród wielkiéj, jakby obrzękłéj twarzy, biegł tak za malutką i zaledwie dotykającą ziemi, swą żoną, a wielkie stopy jego, opyloném obuwiem okryte, ciężko i ze stukiem opadały na ziemię; na myśl patrzącemu nasuwał się słoń ogromny, stary i leniwy, uganiający się za drobną ptaszyną, o skrzydłach z zefiru i ognia. Gonitwy te zresztą kończyły się zawsze u drzwi, które pani Emilia z trzaskiem przed mężem zamykała, po dwa razy i ze stukiem gwałtownym klucz w zamku z wewnątrz obracając.

Bywało nieraz, iż po przedłużonéj takiéj bytności na stacyi młodego jakiegoś i wykwintnego gościa, usposobienie pani Emilii zmieniało się do niepoznania. Bladła i mizerniała widocznie, czarne oczy jéj zapadały i nabierały błysków gorączkowych, ruchy stawały się powolniejszemi, jakby zjętemi niezmożoném, senném rozmarzeniem. Widać było, że nerwową, niespokojną naturę tę przenikały wtedy na wskroś palące pragnienia jakieś i głębokie żale. Milkły wtedy srebrzyste wybuchy jéj śmiechu, które w dniach innych nieustannie prawie rozlegały się na ganku stacyi, na drodze, we dworze, wszędzie. Z niechęcią odwracała twarz od najgorętszego z wielbicieli swych, pana Laurentego, a gdy ten uprzykrzał się jéj melancholijnemi zapytaniami o przyczynę smutku, z syczącém szyderstwem odsyłała go do garderoby dworskiéj, gdzie, jak mówiła, najwłaściwszą dla siebie mógł znaleźć pociechę i zabawę. Zresztą milczała jak grób, ubierała się w czarną suknę, a oczy jéj co chwila zachodziły łzami.

W czasie każdego takiego paroxyzmu rozpaczy żony, Żminda chodził, jak struty, przyczyny jego domyślić się w żaden sposób nie mogąc. — Chora chyba, — szeptał, zwieszając smutnie głowę, — zmizerniała widocznie... nic nie je...

Albo téż zapytywał najbliższych swych przyjaciół:

— Czy ja jéj co złego zrobiłem? zdaje się, że nie... ale zresztą... być to może! być to może! taki jestem niezgrabny i powolny... ale powinna przecież wiedzieć, że nie ja temu winien jestem, ale ten mak przeklęty!...

Albo znowu mówił do córki:

— Salusiu! spytaj się mamy, czego taka smutna?

Ale dziewczynka nieśmiałą jakoś była do matki, która téż, dość obojętna dla niéj zwykle, w dniach tajemniczych żalów swych i rozjątrzeń i patrzéć nawet na nią nie chciała.

Przychodził tedy w utrapieniu swém Żminda do dworu i prosił moję matkę, aby przez najbliższą okazyę sprowadzić raczyła z gubernialnego miasta materyą na suknią dla jego żony, nowy kapelusz lub cóś podobnego.

— Pani dobrodziejka, — mawiał, — według gustu swego kupić to rozkaże, a ja myślę, że to może Emilkę rozerwie trochę. Nie wiem prawdziwie, co to jest, — dodawał, — ale taka mizerna jakaś i nieswoja, że boję się, czy jéj czasem, nie chcąc, czém nie zmartwiłem...

Zdarzało się tak najczęściéj, że gdy suknia lub kapelusz przychodziły z miasta, pani Emilia była już pocieszoną i rozweseloną zupełnie. Żminda niósł jéj przecież podarunek, za który, gdy mu czasem z uśmiechem podziękowała, rad był już zupełnie z niéj i z siebie, a sąsiadkom, zebranym dla przypatrzenia się przywiezionym z miasta strojom, z niejaką dumą mówił:

— Należy się jéj to, jejmoście moje, należy; kobiéta młoda, edukowana i... obywatelska córka!

Jakkolwiek przecież dobrym był, ufnym i względnym dla żony, Piotr Żminda wszystkie najgłębsze tkliwości swe i nadzieje skupiał na córce.

Było to dziecię dość dziwne. Wysoka nad wiek, bardzo szczupła i wątła, ruchy jednak miała ojcowskie, powolne i ciężkie. Twarzyczka jéj ściągła, ładnie wykrojona, bladawą cerą okryta, nieruchomą była prawie i nadzwyczaj rzadko rozświecała się uśmiechem, który smętnie jakoś zawsze i niewyraźnie wyglądał na blado różowych, cienkich jéj wargach. Oczy miała duże, błękitne, z bardzo łagodnym i nieco sennym wyrazem, włosy gęste, złote, dwoma grubemi warkoczami na plecy opadające. Ludzie mówili, że Salusia wrodziła się w ojca. W istocie, patrząc na dwoje ludzi tych, rzec-by można, iż ów mak smutnéj pamięci, który tak trwałe ślady pozostawił w ustroju ojcowskim, przeniknął téż i organizm dziecka pierwiastkiem jakimś sennym, smętnym i ociężającym. Dziewczynka ta ubieraną zwykle bywała ze starannością wielką. Ojciec przez czułość, matka przez próżność, stroili ją w błękitne i różowe sukienki z białemi paskami, w złote warkocze jéj wplatali barwiste wstążki. Wszystko to przecież nie bawiło wcale Salusi. Najlepiéj lubiła przebywać z ojcem w ogrodzie, który Żminda uprawiał z zamiłowaniem i pracowitością wielką. Tam, powolna i wyprostowana, milcząc i zawsze kędyś daleko patrząc, pomagała ona ojcu obrywać z krzewów liście zeschłe, lub okładać kamyczkami klomby kwiatowe, niekiedy zaś nabierała w fartuszek żwiru i powoli, miarowo, drobną, ciemną rączką sypała go na ścieżki ogrodu.

Tak pracowali po dniach całych, na odgłos tylko pocztowego dzwonka odrywając się od pracy swéj, aby wnet znowu do niéj powrócić. Ogródek téż wyglądał, jak cacko, a było w niém miejsce jedno, kędy, na świeżéj zawsze, bo starannie podlewanéj i koszonéj murawie, u stóp rosochatéj, odwiecznéj wierzby, Żminda z córką siadywać lubili po pracy o zachodzie słońca. Dziécię przychodziło zawsze w to miejsce z garsteczką kwiatów, które zrywało przedtém powoli, z bladym uśmiechem słabéj radości na wargach. Ojciec znowu składał obok siebie narzędzia ogrodnicze: nożyce, noże, motykę, konew'; poczém obejmował córkę ramieniem, a ona, złożywszy bladziutką twarz swą na jego szerokiéj piersi, zarzucała mu na ramię złote swe warkocze. W takiéj postawie siadywali godzinę i dłużéj czasem. Nie mówili do siebie nic, a dwie pary oczu ich, dziwnie podobne barwą i wyrazem, tkwiły nieruchomie w onéj stronie nieba, kędy ognisty obłok zachodu rzucał po-nad drzewa gorące łuny, a płynące w powietrzu morze blasków różowych walczyło z ciągnącym od północy mrokiem wieczoru.

Wtedy-to, o téj wpół szaréj już, wpół świetlistéj jeszcze godzinie, wielkie, ciężkie ręce Żmindy ujmowały niekiedy kwiaty, które dziecię przyniosło tu i na różowéj sukience swéj złożyło, i zaczynały przystrajać niemi złociste włosy dziewczynki. Z cichym uśmiechem na szerokich swych wargach, przymocowywał on nad blademi skrońmi dziecka żółte nagietki i białe stokrocie. Niekiedy, czyniąc to, śmiał się do siebie pół głośno. Wtedy i Salusia uśmiechała się także i, nie podnosząc głowy z nad jego piersi, drobną rączką, powolnym ruchem, podawała mu coraz inne kwiaty.

Na szerokiéj drodze stawało się coraz ciemniéj. W odwiecznych lipach dworskiego ogrodu szumiał wiatr lekki, gwiazdy zapalały się na niebie i błyszczały w spokojnéj szybie stawu, na osadę całą spadała cisza nocy i odpoczynku; tylko w altanie z powojów, strojącéj ganek pocztowego domu, dźwięczał płochy, srebrzysty śmiech, pani Emilii, bawiącéj się z oficyalistami dworskimi i, wśród grusz starych, z otwartych drzwi kuźni lały się w ciemności ponsowe blaski płomienia.

Wtedy w ogrodowéj fórtce ukazywał się Żminda, z córką w objęciu. Z uśpionéj i na ramię jego pochylonéj głowy Saluni opadały kwiaty. Żminda niósł ją ku domowi zwolna, ostrożnie, jakby sen jéj przerwać się lękał, a od czasu do czasu, zbliżając twarz swą do jéj twarzy, bez uśmiechu jednak ni pocałunku, powtarzał półgłosem:

— Oj ty, śpioszku mój! rabaczku! gwiazdeczko!... mój ty skarbie!

Miałem lat 19 i, po odbyciu piérwszego kursu uniwersyteckich nauk, przybywałem na wakacye do rodzicielskiego domu, kiedy z odległości kilku już stai drogi ujrzałem panujący przed stacyą, pocztową ruch niezwykły. Tłoczyli się tam ludzie, w przejrzystém błękitném

powietrzu powiewały żałobne chorągwie, brzmiały śpiewy jakieś, do przeciągłych łkań podobne, i po nad szmer wielu głosów słumionych wybijały się płacze głośne i zawodzące. Niebawem rozpoznałem wysoką postać mego ojca, stojącego z głową odkrytą, w pewném od tłumu oddaleniu, i dojrzałem migocącą na cienistym ganku jasną suknią młodziutkiéj siostry mojéj.

Powiedziałem woźnicy memu, aby pojechał wprost przed stacyą i, wyskoczywszy z bryczki, w mgnieniu oka znalazłem się u boku ojca mego, który, powściągając widocznie objawy radości, na widok mój doświadczonéj, powitał mię milczącém ściśnieniem ręki i cichemi słowy:

— Córka Żmindy, mała Salusia... umarła!

Zaledwie te słowa wymówionemi zostały, w drzwiach pocztowego budynku ukazała się, przez kilku ludzi niesiona, niewielka, błękitna trumna. Tuż za nią wyszła na ganek domu Emilia Żmindowa, w czarnéj sukni, z włosami rozpuszczonemi, z głową fantastycznie owiniętą w czarne krepy jakieś i woale. Twarz jéj była łzami zalana, ręce załamane. Rzucała się za trumną córki w konwulsyjnych ruchach i z dzikiemi okrzykami. Podnosiła oczy i ręce ku niebu, i szamotała się tak gwałtownie, że kilka kobiét, szlochających téż i lamentujących na całe gardło, powstrzymywać ją musiało. Za tłumem tym dopiéro, miotającym się i wrzaskliwym, w drzwiach sieni ukazał się Żminda. Spojrzałem na niego z głębokiém współczuciem i zdziwiony zostałem, nie ujrzawszy w powierzchowności jego żadnéj prawie zmiany. Miał na sobie mundur świąteczny, zapięty od piérwszego guzika u góry do ostatniego u dołu, trzymał się prosto, i tylko twarz, która żółtszą jeszcze i bardziéj nabrzmiałą wydawała się, niż zwykle, pochylał bardzo nizko.

Oczy jego, nieruchomo w ziemię utkwione i szklisto błyszczące, posiadały wyraz kamiennego jakby osłupienia. Zbliżył się do woza kirem okrytego i, milcząc, wyciągnął ręce, jakby chciał sam złożyć na nim błękitną trumienkę, ale w otaczającym wóz tłumie rozszedł się gwar stłumiony i kilka głosów jednocześnie zawołało:

— Nie trzeba wozu! poniesiemy ją sami na cmentarz!

Oświadczenie to wymówioném zostało przez kilku pocztylionów, podwładnych Żmindy; poczém ludzie ci, ubrani w długą czarną odzież, przepasani czerwonemi pasami i z żółtemi blachami na piersiach, pochwycili trumnę na silne swe ramiona i stanęli z nią nieruchomo, oczekując chwili ukazania się księdza w drzwiach domu. Żminda oderwał wzrok od ziemi, i mętne, szkliste spojrzenie tocząc po twarzach życzliwych dla niego ludzi, szepnął:

— Bóg zapłać!

Był to szept tak cichy, że ja tylko jeden, którym stał tuż obok niego, dosłyszéć go mogłem. Rzec-by można, iż był to słaby tylko powiew, wychodzący ze śmiertelnie ugodzonéj i zamierającéj piersi.

Po chwili smutny orszak, w którym rozlegały się wciąż spazmatyczne krzyki pani Emilii i piskliwe lamenty towarzyszących jéj kobiet, z księdzem, niosącym krzyż na czele, puścił się w powolny pochód. Żminda szedł ostatni, z czapką, na któréj błyszczała urzędnicza gwiazdka, w spuszczonych dłoniach, ze wzrokiem znowu wbitym w ziemię. Nagle za plecami odchodzących donośnie zadźwięczał dzwonek. Żminda stanął jak wryty, podniósł twarz i sekund parę słuchał tak, jakby uszom własnym nie dowierzał. Dzwonek ten dźwięczał coraz głośniéj, coraz wyraźniéj, tuż prawie przy stacyi.

— Oh! — westchnął nagle Żminda i, odwróciwszy się szybko, spojrzał na przybliżający się w tumanie kurzawy lekki koczyk, czterema pocztowemi końmi zaprzężony. Gwałtownie zwrócił się znowu w stronę, w którą ciągnął pogrzebowy orszak i oba ramiona wyciągnął ku trumnie, błękitno migocącéj wśród czarnych ubiorów niosących ją ludzi.

Straszna walka, druzgocący przestrach jakiś zatrzęsły tak nieruchomą zwykle jego twarzą.

— Co ja zrobię? co ja zrobię? — szeptał, jakby nieprzytomny. — Wszak muszę pożegnać się z nią... tam ktoś jedzie... i w tę stronę iść... i w tamtą iść... nie mogę!

— Ależ bądź pan spokojny, — rzeki mój ojciec — idź za trumną córki. Ja wrócę na stacyą i zastąpię cię... zrobię wszystko, jak należy...

Trudno powiedzieć, czy Żminda zrozumiał, a nawet dosłyszał te słowa. Oczy jego otwierały się szeroko, powieki mrugały.

— Aha! — zawołał nagle, — wiem już! pójdę! załatwię wszystko, a potém dobiegnę jeszcze w czas, żeby się z nią pożegnać...

Szepcąc to, skoczył ku stacyi. Ojciec mój chciał go powstrzymać. Daremnie.

— Nie mogę! — szeptał, — nie mogę! muszę tam być! a jakże-by inaczéj? Co komu do tego, że mnie... mnie dziecko porzuciło!... Dobiegnę potém jeszcze, dobiegnę!

I biegł ku stacyi.

— Zostań z nim! — szepnął mi ojciec.

Z koczyka wyskoczył młody, przystojny mężczyzna, którego znałem trochę; był to bowiem obywatel wiejski, o cztery mile od nas mieszkający, słynny na powiat cały hulaka i uwodziciel kobiet.

Żminda zdyszany cały wpadł na ganek, zgiął się przed przybyłym dziwnie nizkim, elastycznym ukłonem i prędko bardzo mówić zaczął:

— Niech pan pospiesza, panie łaskawy, na miłość Boga, niech pan pospiesza! *podorożną* pan ma? ile pan koni życzy sobie? Natychmiast będą! o *podorożną* proszę... *prohony*...

— Ależ, panie Żmindo! — przerwał ze zdziwieniem podróżny, — nie poznajesz mię pan chyba! Wszak jesteśmy dobrze znajomi, przejeżdżam tędy od dwóch miesięcy co tydzień prawie.

— Rzeczywiście, nie poznaję... nie poznaję... nie wiem, czy mam honor... — jednym tchem mówił wciąż Żminda, — ale proszę łaskawego pana... niech pan pośpiesza... moi ludnie zaraz gotowi będą... hej! Jan! Ambroży! Doliniecki! wyprowadzać konie! zaprzęgać na miłość Bozką prędko! prędko! Wszak ja tam dobiedz jeszcze muszę, nim ją ziemią zarzucą... Ambroży, cztery konie dla pana!... *podorożna* panie łaskawy! *prohony!* Widzi pan, tu u mnie wielki porządek zawsze i takiego pośpiechu niéma, ale dziś co innego! Dziecko mnie porzuciło... na szkarlatynę umarło, muszę dobiedz... pożegnać się.

Mówiąc to wszystko jednym tchem, Żminda, zbiegał wciąż z ganku i wbiegał nań napowrót, rzucał spojrzenia na widniejący jeszcze z dala kondukt, wołał i rękoma machał na kilku pocztylionów, którzy, pozostawszy na stacyi, krzątali się po dziedzińcu. Po czole jego zbrużdżoném i drgającém ciekły duże krople potu, oczy, tak mętne zwykle i omdlałe, paliły się jak żużle. Kilku słowami uwiadomiłem podróżnego o wypadku zaszłym w domu Żmindy. Zaledwie zrozumiał, o co idzie, przybyły pochwycił za obie ręce gospodarza stacyi i usiłował przyprowadzić go do przytomności.

— Ależ — mówił, — mnie się wcale a wcale nie śpieszy. Miałem nawet zamiar zabawić na waszéj stacji nieco dłużéj. Wyjechałem z domu po śniadaniu i czekać mogę na konie, choćby do wieczora. Idź pan za pogrzebem córki, a ja siądę tu na ganku i czekać będę.

Żminda słuchał z razu nieprzytomnie, i w ogarniającém go wciąż uczuciu pośpiechu, rękę swą z dłoni gościa wyrwać usiłował. Po chwili jednak słowo jakieś trafiło snadź do splątanego w chaos jego umysłu.

— Pan dobrodziéj zaczeka! — zawołał z radością niemal, — to dobrze! oh! jak to dobrze! więc mogę już biédz! mogę już biédz! pan z pewnością zaczeka, nim wrócę!

— Zaczekam, zaczekam, choćby do późnéj nocy! — upewniał podróżny, ale Żminda już go nie słyszał. Z odkrytą głową, z rozstawionemi ramionami biegł już brzegiem drogi, w stronę jéj północną, kędy na tle szarego wiecznie skłonu nieba widać było jeszcze powiewającą chorągiew.

W godzinę potém ludność dworu i osady pocztowéj wracała z pogrzebowego obchodu. Panią Emilią matka moja wiozła w swym powozie. Mała kobiétka ślicznie wyglądała w swych fantastycznie wkoło głowy owiniętych kirach; wydawała się wciąż zrozpaczoną, łamała ręce i szamotała się gwałtownie. Skoro jednak powóz zbliżył się ku stacyi, a wzrok jéj spotkał się z ładnym koczykiem, stojącym w pobliżu ganku, szkarłatny rumieniec opłynął bladą i zmiętą dnia tego jéj twarzyczkę, czarne jéj oczy błysnęły z za łez promieniem, jakby uczutéj niewymownéj ulgi. Ucałowała ręce mojéj matki, powoli, chwiejąc się, wysiadła z powozu, i z głową melancholijnie pod zwojami czarnéj krepy schyloną, podała drobną rękę stojącemu na ganku, wykwintnéj powierzchowności, podróżnemu. On pochylił się nieco, głęboko w twarz jéj spojrzał, kilka słów cichych wymówił, poczém zniknęli oboje w głębi mieszkania.

Ale Żminda nie wrócił wraz z innymi. Przy grobie córki zapomniał snadź o stacyi pocztowéj, o obowiązkach swych i o całym świecie. Dzień miał się ku końcowi, zachodzące słońce malowało już na skraju nieba owe ogniste zaniki z fijoletowemi basztami, w których tyle razy tkwiły błękitne, wpół-senne oczy, siedzących pod starą wierzbą, ojca i córki; — a Żmindy nie było jeszcze na stacyi. Późnym dopiéro wieczorem, gdy gwiazdy błyszczały już na niebie, osada cała zdawała się być uśpioną, i tylko czerwone iskry, strzelające rojem z komina kuźni, rozświecały ciemność, zalegającą drogę, stanąłem w fórtce ogrodu i zobaczyłem ciemną jakąś, wysoką postać, wlokącą się bardzo powoli brzegiem drogi, pod ścianą z cicha szumiących klonów i topoli.

Postać ta, ze schyloną głową, minęła bielejący budynek pocztowy i weszła w głąb' ogródka. Ładny zaś koczyk podróżnego stał wciąż pod sztachetami, dom otaczającemi. W mieszkaniu Żmindów nie paliło się żadne światło, tylko jedno z okien było otwarte, a przy niém, szerokim krzewem jaśminu nawpół okryte, siedziały dwie osoby: mężczyzna i kobieta. Niekiedy, gdy pod silniejszym powiewem wiatru rozchylały się gałęzie krzewu, rozpoznać można było ładną głowę pani Emilii, z czarnych kirów oswobodzoną, ale osłoniętą za to gęstemi zwojami kruczych, długich włosów. Skroń opierała na dłoni, co postawie jéj nadawało wyraz smętny i zadumany, ale oczy jéj od chwili do chwili połyskiwały wśród cieniów namiętnym blaskiem. Siedzący naprzeciw niéj mężczyzna palił cygaro i pochylał się ku niéj, cicho bardzo szepcąc wyrazy próśb jakichś czy oświadczeń. Była jednak chwila, w któréj szept pary téj zmienił się w głośną prawie rozmowę.

— Tak prędko! — z wybuchem jakby przestrachu zawołała kobieta.

— Tak prędko, albo nigdy! — ze stanowczością człowieka, który czuje się panem położenia, odparł mężczyzna.

— Nigdy! to niepodobna! ja tu już teraz żyć nie mogę! — wydarł się z piersi kobiety krzyk prawie.

Mężczyzna uśmiechnął się tryumfująco, ujął ją za rękę, i znowu o czémś szeptać jéj zaczął.

W téj saméj chwili, w głębi pocztowego ogródka, w miejscu tém, gdzie stała wierzba stara, a Żminda z córką w objęciu codziennie niegdyś w godzinach zachodu spoczywał, ozwało się wielkie, głębokie, samotne łkanie. Samotném ono było, bo odpowiedział mu tylko głuchy szum wiatru, wierzchołkami drzew przelatujący, i jęcząca w polu, kędyś pod borem dalekim, pastusza trąbka.

Od pogrzebu Salusi minęło zaledwie dwa tygodnie gdy pewnego ranka cała osada pocztowa zawrzała i zakipiała dziwną wieścią, iż nocy ubiegłéj Żmindowa zniknęła ze stacyi. Z razu po dworze i osadzie krążyły o wypadku tym domysły rozliczne i jedne od drugich fantastyczniejsze, wkrótce jednak sprawa wyjaśniać się poczęła. Jeden z mieszkańców osady przypomniał sobie, iż widział ją, wybiegającą w nocy z mieszkania, z tłomoczkiem w ręku; inny słyszał turkot powozu, który zatrzymał się z dala od stacyi, a w kwadrans potém oddalił się znowu w stronę, z któréj przybył; ktoś trzeci jeszcze spostrzegł przed kilku dniami pana Przyborskiego, jadącego konno ścieżką przez pole wiodącą, i panią Emilią, która zaszła mu drogę u skraju boru i długo z nim o czémś szeptała... Około południa zdecydowano jednogłośnie, że Żmindowa uciekła od męża.

— Zbałamucił ją i zawiózł do siebie pan Przyborski, — mówiono.

Dla przekonania się lepszego, jeden z młodszych pocztylionów wsiadł na konia i popędził do Przyborza o cztery mile odległego. Wrócił późnym wieczorem, ale całą osadę znalazł czuwającą.

— Cóż? widziałeś ją? — pytała chórem zaciekawiona i oburzona gromada.

— A jakże! — odparł posłaniec, — zamówiłem się o coś do stangreta, którego znam, i dwie godziny przebyłem we dworze. Z początku myślałem, że nie dowiem się o niczém, bo ludzie gadać nie chcieli; ale potém, stojąc przed stajnią, zobaczyłem pana Przyborskiego, jak wyszedł na ganek domu, ją pod rękę prowadząc. Śmieli się oboje, aż rozlegało się po dziedzińcu, i poszli razem do ogrodu...

Żminda stał na ganku stacyi, w cieniu kraty, oplecionéj powojem, i niespostrzeżony przez nikogo, wysłuchał opowiadania młodego pocztyliona. Wnet potém cofnął się ku drzwiom od sieni i zniknął w głębi mieszkania.

Nazajutrz obaj z ojcem moim poszliśmy na stacyą. Znaleźliśmy Żmindę w ogrodzie, kopiącego ziemię około malinowych i agrestowych krzaków. Zauważyliśmy od piérwszego spojrzenia, że motyka, którą pogrążał w ziemię, zatapiała się w niéj niezwykle głęboko, tak głęboko, że aż podrywała korzenie krzewów, które kołysały się pod uderzeniami temi i groziły zupełném upadnięciem na ziemię. Ale pracujący w ten sposób człowiek nie zdawał się uważać, że robota jego szkodę, zamiast pożytku, przynosi. Spełniał ją machinalnie, i nie odrywając od ziemi nabrzękłych i zaczerwienionych swych oczu. Długo téż nie spostrzegł, że zbliżamy się do niego, a gdyśmy już tuż przy nim stanęli, spojrzał na nas, i ceglasty rumieniec wystąpił mu nagle na woskowo żółte policzki. Snadź wstydził się czegóś bardzo, bo nie mógł długo patrzéć na nas. Spuścił oczy ku ziemi i, obie trzęsące się widocznie ręce swe na motyce wspierając, stał nieruchomy. Ojciec mój wyciągnął do niego rękę i wymówił kilka przyjaznych słów współczucia.

— Dziękuję panu za dobre słowo, — odparł Żminda powoli i cichym głosem, — cóż robić? — dodał wnet, — cóż robić? Ziemia okrągła jest i toczy się około słońca, a ludzie z nią... to na wierzchu to pod spodem...

Mówiąc, próbował uśmiechać się. Mętny wzrok jego pobiegł gdzieś w dal i tonął w przestrzeni.

— Najgorsza rzecz, — wyrzekł jeszcze po chwili, — że dziecko mnie porzuciło... na szkarlatynę umarła... i matka potém poszła w świat...

Zwrócił powoli twarz ku bielejącéj z za drzew stacyi pocztowéj.

— Dwanaście lat, — rzekł, — dwanaście lat temu do gniazda tego przywiozłem ptaszka... potem i drugiego Pan Bóg dał, i dobrze było... aż tu jeden ptaszek frunął do nieba... porzuciła mię córka... na szkarlatynę umarła... potém i drugi ptaszek poleciał... gniazdko tylko zostało... puste... chwała Bogu, że choć ono zostało...

Rzekłszy to, spróbował znowu uśmiechnąć się i, nagle pochyliwszy się, zaczął kopać ziemię z taką siłą i tak nieustannie, jakby wyobrażał sobie, że wszystkie smutki swe i zawody z piersi swéj zrzuci, i w czarném łonie ziemi, kędyś, głęboko, pod kolczate, agrestowe krzaki, zakopie.

Lato owe było ostatniém, które spędziłem w rodzicielskim domu. Nad pogodném dotąd życiem mojém przeciągnęły także chmury nieszczęścia. Utraciłem ojca, i piękna wioska moja rodzinna, wskutek nieprzyjaznych nam okoliczności, przeszła w ręce inne. Po kilku latach, ukończywszy nauki uniwersyteckie, zamieszkałem w mieście gubernialném, o kilka mil odległém od dawnego gniazda rodziny naszéj, i rozpocząłem tam zawód adwokata. W wirze zajęć i stosunków najrozmaitszych, który mię u początku zaraz męzkiego wieku pochwycił, nie miałem wcale czasu do cofania się myślą w przeszłość, choćby najmilszą, i do bawienia się wspomnieniami, choćby najdroższemi: To téż upływały miesiące i lata może, a jam w śnie nawet nie ujrzał ni razu rodzinnéj mojéj drogi pocztowéj, ani wdzięcznych obrazków jéj i zamieszkujących je, a tak dobrze mi niegdyś znanych, twarzy ludzkich. Kiedy, nakoniec, po upływie długiego czasu, interes jakiś, z zawodem mym związek mający, rzucił mię znowu na drogę tę, przedstawiała już ona wtedy widok wielce do dawnego nie podobny. Szeroki szlak jéj, równy zawsze i poważnemi zwroty w przestrzeń sunący, mniéj biały był, niż dawniéj, bo porosły gęstemi pasami trawy, któréj nie niszczyły już liczne przejeżdżające koła. Po obu stronach jéj wznosiły się zawsze dwie wysokie ściany drzew starych, ale z cichym szumem rozłożystych ich gałęzi nie łączyły się już teraz przenikliwe odgłosy dzwonków pocztowych, i wpół wesołemi, wpół melodyjnemi echami nie biegły na równe, szerokie pole. Z rzadka tylko bardzo spotkać tu można było kilka fur jakichś, zbożem lub drzewem naładowanych, i ku miastu ciągnących; dwu-konną biédkę, ze skurczonym i trzęsącym się na niéj żydkiem-faktorem; ubogą bryczulkę jakiego okolicznego szlachetki.

Świeżo pobudowane koleje żelazne wsiąknęły w siebie ruch okolicy, a główna dawniéj arterya komunikacyjna kraju przestała już być nawet od miesięcy kilku drogą pocztową. To téż szeroki ten pas ziemi, trawą porosły, wysokiemi ścianami drzew od reszty świata oddzielony, cichy, milczący, bezludny, wydał mi się trupem drogi téj, która niegdyś, za czasów dzieciństwa mego, biegła w świat, tak wesoła, tłumna, turkocąca i rozdzwoniona.

Nie bez żywego wzruszenia ujrzałem nakoniec miejsce, w którém spłynęły dziecinne i pacholęce me lata. Powiedziałem woźnicy memu, aby stanął przed karczmą i, wysiadłszy z powozu, rozglądałem się dokoła. Osada pocztowa, tak ożywiona niegdyś, ludna i dostatnio wyglądająca, postarzała się, zubożała i umilkła. Niemniéj jednak, zaledwie ukazałem się śród drogi, otoczyła mię wnet gromadka dawnych znajomych. Twarze ludzi tych postarzały, postacie wielu z nich przygarbiły się, ale oczy i serca mieli snadź dobre, bo poznali mię szybko i powitali uprzejmie, z radością prawie. Ze stron wszystkich sypały się powinszowania, życzenia, utyskiwania i przypominania dawnych czasów; gdy ktoś z gromadki wyrzekł:

— Co za szkoda, że Żmindy już niéma! Jakby się on ucieszył, gdyby pana zobaczył!

Spojrzałem na budynek, zawierający dawniéj stacyą pocztową. Krzątali się koło niego robotnicy jacyś z toporami, piłami i taczkami.

— A ot i pocztę rozbierają, — mówił stojący przy mnie Laurenty Snidko, — dziedzic przenieść ją kazał do dworu, bo mu się drugiéj oficyny zapotrzebowało a tu budynek stał pusty, odkąd kędyś tam koleje pobudowali, a tu skasowali pocztę...

— Cóż się stało ze Żmindą? — zapytałem.

— A cóż, spadł nieborak z etatu, miejsce stracił i w świat poszedł.

— Czy dawno?

— Ot dziś dopiéro, godzinę może temu, rzeczy swoje na przód na furze wyprawił, a sam pieszo poszedł...

Na oczach pani Jerzowéj, żony miejscowego rymarza, znacznemi jeszcze były ślady łez, z któremi żegnała starego sąsiada i przyjaciela.

— Czy wié pan dobrodziéj, — mówiła, — myśmy tu wszyscy jak bobry płakali, kiedy ten nieborak ztąd wychodził... Dwadzieścia lat z górą przesiedział na tém miejscu! taki kawał czasu, to nie żarty! i kamień-by w ziemię wrósł, a cóż dopiéro człowiek! Ludzie przez czas ten dzieci pochowali i wnuków się doczekali, a jemu biédakowi przyszło samemu jednemu tułać się na starość po cudzych kątach! A pracaż jego ciężka, czy to żart? co on się tu napracował około tego ogrodu, naprzykład! Niech pan dobrodziéj spojrzy tylko, co on z tego ogrodu zrobił!

Zbliżyłem się do płotu, otaczającego ogród dawniéj pocztowy, i w istocie, zdumiony zostałem pięknością i bogactwem roślinności, okrywającéj niewielki ten kawał ziemi. Jakkolwiek jesień to już była, drzewa owocowe, zasadzone w regularnych odstępach, i z miłością, snadź przez lata długie pielęgnowane, roztaczały dokoła pysznie rozrosłe swe gałęzie, środkiem ogrodu biegł gęsty szpaler z porzeczkowych i malinowych krzewów, nadzwyczaj starannie okopanych, i giętkiemi, misternie z łoziny uplecionemi, prętami, od wiatrów i szkód wszelkich osłonionych, pod płotem zaś, na pulchnych, długich zagonach, okwitały olbrzymie malwy i pyszne georginie, a u stóp ich świeciły jeszcze różnobarwném kwieciem krzaczyste, pełne, w symetryczne jakby kosze układane, astry i balsaminy.

— Widzi pan dobrodziéj, — mówiła pani Jerzowa, — jakie on tu cuda powyrabiał! Od tego czasu szczególniéj, kiedy go córka odumarła, a żonka porzuciła, można powiedzieć, że nic mu na świecie miłém nie było, tylko ten ogród. Kopał się w nim po całych bożych dniach, siał, sadził, polewał, drzewa oskrobywał, to jakiemiś maściami smarował, a na kwiaty to, zdaje się, chuchał i dmuchał, tak mu one pięknie rosły i rozkwitały, piękniéj, dalibóg, i prędzéj niż w dworskim ogrodzie. To téż wié pan dobrodziéj, że w tym roku zebrali z ogrodu tego więcéj może, niż pięć beczek najpiękniejszych gruszek i jabłek, samych śliwek, węgierek, było pewno z beczkę, jeśli nie więcéj. Dziedzic dziwił się, że w tym małym ogródku Żmindy tyle prawie było fruktów, co w jego wielkim, dworskim ogrodzie. Chciał on Żmindzie za te frukta zapłacić. „To twoja praca, mówił, a kiedy miejsce straciłeś, to ci grosz potrzebny będzie". Ale Żminda podziękował za pieniądze. „Moja praca ale pański grunt", powiedział, i tylko prosił, żeby mu dziedzic pozwolił mieszkać na stacyi dopóty, dopóki nie zaczną już jéj na oficynę dworską przerabiać. Dziedzic pozwolił; ale, ot, trzy dni temu zapowiedział, że pocztę rozbierać zaczną, a dziś już robotników przysłał. Żminda wczoraj spakował na wóz swoje graty i szmaty, a trzy godziny temu pożegnał się ze swoim ogrodem i ze wszystkimi ludźmi, co tu naokoło mieszkali i... poszedł.

— Dokąd-że poszedł? — zapytałem.

— Do Przyborza, co to, pamięta pan, cztery mile ztąd? Zgodził się na ogrodnika u pana Przyborskiego...

— U Przyborskiego! — zawołałem, — jak-to u tego samego, który mu kiedyś żonę wykradł!

Ludzie uśmiéchnęli się, westchnęli i głowami pokiwali.

— U tego samego, — odparła piérwsza pani Jerzowa. — Ot, powiem panu dobrodziejowi, że ten pan Przyborski, choć Żmindzie żonkę kiedyś zbałamucił, nie jest tak bardzo złym człowiekiem. Z nią to on prędko się rozstał. A jakże-by ona mogła siedzieć u niego, kiedy tam, do Przyborza, matka młodego-pana, owdowiawszy, i fortunę swoję, słyszę, straciwszy, na mieszkanie przyjechała. Mówią ludzie, że pan Przyborski moc piéniędzy téj kobiécie dał, i kazał jéj w świat ruszać. Pojechała podobno do Warszawy, i tak kędyś zginęła, że ani ucho ludzkie nigdy już o niéj nie słyszało. Pan Przyborski zaś uciekał przez te wszystkie lata od naszéj poczty, jak dyabeł od święconéj wody. Jeżeli, bywało, jedzie dokąd tędy, to przeleci koło stacyi jak piorun; u dziedzica naszego nawet nie bywał, dlatego może, ażeby przypadkiem nie spotkać się ze Żmindą. Ale jak u nas pocztę skasowali i Żminda z etatu spadł, pogłoska wielka poszła o tém po okolicy, wszyscy żałowali bardzo biédaka, i pana Przyborskiego sumienie tknęło. Przyjechał i zaczął Żmindę za rękę ściskać. W piersi bił się: „Grzeszny jestem przed tobą, panie Żminda, ale już nie gniewaj się na mnie. Ta kobieta, żeby nie ze mną, z drugim-by to samo zrobiła. Młody byłem i w głowie świtało. Ot, bez miejsca teraz jesteś na stare lata. Jedź do mnie, do Przyborza, izbę, ci ciepłą dam i kawał chleba do śmierci". Żminda bronił się długo. „Niepięknie, mówił, niepięknie obywatelowi tak postępować! " Potém jednakowoż zgodził się pójść do Przyborza, ale, broń Boże, nie na chléb łaskawy. „Na ogrodnika mię pan weź, powiedział, w Przyborzu ogród wielki, a nikt koło niego nie chodzi tak, jak trzeba. Ja panu z niego cacko zrobię i darmo u pana jeść chleba nie będę". Ludzie troszkę mu to za złe mieli, że do Przyborskiego w służbę idzie, i szeptali mu, żeby tego nie robił. Ale Żminda temu i owemu odpowiedział: „Młody był, w głowie mu świtało. *Ona*, żeby chciała, toby do mnie dawno wróciła. Wiedziała przecież, żebym jéj nie odepchnął, bom do niéj pisał nie raz, ale dziesięć może. Kiedy nie wróciła, to widać nie chciała, i Bóg tam wié, co się z nią dzieje teraz... może wielką panią sobie gdzie jest, bo kobiétą ładną była, edukowaną i obywatelską córką... Ja zaś nie mogę całe życie gniewać się na człowieka... kiedy jeszcze przyjeżdża i przeprasza... Serce nie kamień! Pan Bóg niech jego sądzi! Zgrzeszył, to zgrzeszył, ale złym człowiekiem nie jest... Łaski jego zresztą nie potrzebuję żadnéj... będę mu pracował i z ogrodu cacko zrobię... Dobrem za złe..." I ot, poszedł w służbę...

— A mnie się zdaje, — zawołał Laurenty Snidka, — że pan Przyborski pieniądze u starego przewąchał, i dlatego tak go do siebie wabił... On teraz rzuca się, jak ryba w wodzie... zkąd zarwie grosza to dobrze, byle zarwał...

— A, pan Laurenty zawsze musi miéć złe jakieś podejrzenia! — sarknęła pani Jerzowa, trzymająca widocznie stronę Przyborskiego.

— A jejmość to się chyba w panu Przyborskim kochasz, tak go zawsze bronisz! — zażartował Snidko.

— A pan Laurenty, to mu chyba darować tego nie możesz, że ci Żmindowę, z którą romansować chciałeś, z przed nosa zdmuchnął!

— Wstydź się jejmość! starą kobiétą jesteś, a ujadasz się jeszcze za takiego świszczypałkę dlatego, że pięknym jest mężczyzną!

— A jużci, że piękniejszy od pana Laurentego, to piękniejszy!

— Powiedz mi, panie Snidka, — rzekłem, — czy Żminda naprawdę zebrał sobie jaki fundusik?

— A ma tam trochę grosza, panie dobrodzieju, niewiele... może jakich kilkaset rubli, co je sobie przez całe życie uciułał. Na utrzymanie siebie to nie starczy, ale w złéj godzinie zawsze jaki taki ratutunek byłby... Boję się tylko bardzo, żeby mu tych piéniędzy pan Przyborski nie świsnął tak samo, jak kiedyś żonkę...

W kilka minut po téj rozmowie pożegnałem gromadkę dawnych moich znajomych i puściłem się w dalszą drogę.

Dzień to był jesienny, chmurny. Pomiędzy niebem a ziemią błądziły powiewne obłoki mgieł szarych, a z za nich, jak z za gazowéj obsłony, przebijały się po obu stronach drogi

jaskrawe barwy, któremi jesień przyoblokła drzewa. Tu brzoza wysmukła i nieruchoma stała niby słup złoty, owinięty szarym welonem, owdzie drżały w powietrzu blado-różowe listki osiczyny, tam dąb wysoki powiewał w górze wielkim pękiem gorąco żółtego listowia, gdzieindziéj krwawym szkarłatem błyskały grona jarzębin.

Ujechałem spory kawał drogi, daremnie rozglądając się dokoła, czy nie spostrzegę gdzie idącego Żmindy, gdy w miejscu pewném, wśród przerzedzonego zastępu drzew, zobaczyłem drogę boczną, nie szeroką, która, do pocztowego niegdyś gościńca, niby strumień do rzeki, przytykając, biegła już daléj po gładkiém, rozległém polu szlakiem nierównym i pustym. W oddali, szerokiemi budynkami i gajem smukłych topoli włoskich ciemniał dwór jakiś. Przypomniałem sobie dokładnie, że był to Przyborów. Ku dworowi temu, boczną, nierówną drogą, szedł człowiek jakiś. Wysoka, ciężka, barczysta jego postać uwydatniała się na tle szarém ciemniejszemi nieco zarysy, a po chwili, gdy, wytężywszy wzrok, przypatrzyłem się mu lepiéj, wątpić nie mogłem, iż samotny wędrowiec ten był Piotrem Żmindą. Znużonym, ciężkim krokiem, posuwał się on drogą nierówną i wyżłobioną, bardzo powoli; dokoła niego z szumem i poświstami hasały podmuchy wiatru, nad głową jego kłębiły się mgły wilgotne i szare, a na całym tym szerokim, cichym, zeschłemi badylami porosłym rozłogu nie widać było nic, prócz niego i staréj gruszy polnéj, która kędyś, w oddali, trzęsła nad żółtą miedzą ciemnemi gałęźmi.

Parę lat znowu minęło, gdy dnia pewnego zjawił się w gabinecie moim izraelita jakiś, bardzo porządnie wyglądający i, przedstawiwszy się mnie jako kupiec z okolicy, zamieszkiwanéj niegdyś przez rodziców moich, przypomniawszy mi nawet, ze widywał mię niegdyś dzieckiem i dorastającym chłopakiem, zażądał ode mnie prawnéj porady.

— Interes jest niedobry, — mówił, siadając i wydobywając z kieszeni surduta spory pakiet papierów, — już, kiedy ja go mam z panem Przyborskim, — ciągnął, — to on musi być niedobry. Do tego czasu ja jednak myślałem sobie, że sam jemu dam radę, ale teraz to ja już widzę, że tu trzeba takiéj głowy, co prawo zna, i takiéj ręki, coby ostro koło niego pochodziła. Niech pan będzie łaskaw rozpatrzyć te papiery, a ja tymczasem opowiem, jak wszystko było.

W papierach, podanych mi przez żyda, znajdowały się kontrakty na zboże, jak téż mniéj lub więcéj formalne kartki i obligi.

— Zboża tego, co on mi sprzedał i pieniądze za nie z góry wziął, ja nigdy na oczy nie widział, — mówił żyd, — bo to taki jest pan, że jak on piéniędzy zapotrzebuje, to rzecz sprzedaną drugi raz komu innemu sprzeda, i pod sekretem z domu wywiezie, a piérwszego kupca z kwitkiem puszcza. Jak pan przeczyta wszystkie te kontrakty, to pan zobaczy, jaki ja tam kapitał wsadziłem, te zaś kartki i obligi za procent są wydane...

Cyfry, wystawione w kilku dokumentach tych, przedstawiały razem sumę znaczną.

— Należności pańskie, — rzekłem, — nie wszystkie posiadają jednostajną wagę prawną. Część ich odbierzesz pan z pewnością, a część, w razie złéj woli lub bankructwa pana Przyborskiego, utracić możesz.

Żyd z żalem, ale spokojnie, potrząsł głową.

— Ja wiem, że mnie tam cóś z tego przepaść musi, — rzekł. — Na bankructwo tu czekać nie trzeba, ono już gotowe. Ale ja chcę odebrać to przynajmniéj, co można, i przyszedłem prosić, żeby mi pan dopomógł exekwować z Przyborowa moję należność.

Zaledwie izraelita słów tych domówił, do gabinetu mego wszedł, z zasmuconą i nieśmiałą trochę postawą, człowiek jakiś, z ubrania wyglądający na zagrodowego szlachcica.

— Panie dobrodzieju, — rzekł, kłaniając się, — z okolicy Żmindów pochodzę... sąsiadem rodziców pana byłem kiedyś... ratuj-że mię pan teraz... dopomóż wyrwać grosz, ciężko zapracowany, z rąk pana Przyborskiego. Oto jest oblig, co mi pięć lat temu wydał... procenta ani razu niezapłacone...

Niebawem przyleciało z pośpiechem, a trzęsieniem się wielkiém, kilku żydków z okolic Przyborowa. Jeden z nich był rzeźnikiem, drugi pachciarzem, trzeci miał w poblizkiém miasteczku sklep towarów korzennych, inny jeszcze przedstawił się mnie, jako szklarz miejscowy, a inny, jako handlarz drzewem. Wszyscy oni mieli do Przyborskiego pretensye najróżniejsze. Jeden mu mięsa na kredyt dostarczał, inny od kilku lat szyby w oknach

bez zapłaty wstawiał, ten samego cukru i wina dostarczył mu za rubli kilkaset, a ów drzewa ilość pewną skontraktował, i nigdy już ani drzewa tego, ani zapłaty, z góry za nie uiszczonéj, nie oglądał.

— Niech wielmożny pan nas ratuje! — wołał jednogłośnie ludek ten, ze strachu i niecierpliwości trzęsący się i pejsy różnobarwne targający; — niech WPan zlituje się nad nami i dobro nasze ratuje! My tylko zanadto grzeczni byli, dawali i czekali. Ale teraz zrobiło się gadanie wielkie o tém, że on bankrut! a kiedy wszyscy kredytorzy ruszyli się, dlaczego my mamy cicho siedzieć! My wielki strach mamy, żeby nasze nie zginęło, i przylecieliśmy tu do pana..

Było to istne oblężenie. Przez czas jakiś gabinet mój napełniał się codziennie ludźmi najróżnorodniéjszych stanów i wyglądań, którzy wszyscy przybywali do mnie z nazwiskiem Przyborskiego na ustach, z dokumentami różnych dat i wartości w ręku. Nie sami tylko byli tam mężczyźni. Przychodziły też i kobiéty, żony drobnych posiadaczy ziemskich i wdowy po rzemieślnikach, ekonomowe, młynarki, mieszczki i wieśniaczki. Niektórym z wierzycieli tych obu płci Przyborski winien był sumy znaczne, ale byli i tacy, którzy na kartkach, ręką jego skreślonych, posiadali cyfry nadzwyczaj drobne. Widoczném było, że gdy szło o zaciąganie długów, możny niegdyś obywatel nie zwykł był gardzić nikim i niczém; im więcéj zaś rozpatrywałem się w téj, iście mozaikowéj, rozmaitości cyfr i twarzy ludzkich, tém więcéj się zdumiewać musiałem nad olbrzymim talentem człowieka tego, który umiał wyszperać piéniądze tam, gdzie-by się ich nikt inny domyślać nawet nie mógł, a potém, z równą przenikliwości téj zręcznością, ściągnąć je, w zamian za świstek papieru, do swéj kieszeni.

Przy takim stanie rzeczy, sprzedaż majątku, obarczonego tylu długami, wydała się tak mnie, jak ludziom, którzy interesa w ręce moje składali, rzeczą niemal nieuniknioną. Że jednak z powodu pewnych okoliczności ogólnych, wystawienie na sprzedaż publiczną jakiegokolwiek kawałka ziemi było zadaniem wielce ciernistém i przed którego rozpoczęciem, długo zastanawiać się trzeba było; postanowiłem uczynić wszelkie możliwe kroki, ostateczności téj zapobiedz mogące, a mianowicie: rozmówić się osobiście z Przyborskim, przedstawić mu istotne położenie interesów jego i wybadać, czy w położeniu tém nie dało-by się jeszcze znaleźć jakichś mniéj srogich środków ratunku. W tym-to celu, naglony o pośpiech przez zatrwożonych i zniecierpliwionych wierzycieli, udałem się do Przyborza.

W dużym, pięknym bardzo niegdyś, murowanym domu, stanowiącym centrum obszernego dworu, powitała mię zrazu sama tylko pani Przyborska, matka dziedzica.

Znalazłem ją, siedzącą na obszernym i ocienionym ganku domu, z książką w ręce. Była to kobiéta około pięćdziesięcio-letnia, wysoka, szczupła, ze ściągłą, bladą twarzą, która musiała być kiedyś bardzo piękną. W postaci jéj i ruchach było wiele powag i wdzięku, spojrzenia miała łagodne, a uśmiéch smutny nieco. Na lekko siwiejących włosach jéj spoczywała, malowniczo ułożona, leciuchna koronka; postać całą opływały zwoje czarnego jedwabiu. Powitała mię z poważną uprzejmością, a wskazując mi fotel, stojący w pobliżu kanapki, na któréj siedziała sama rzekła, iż syn jéj wyjechał w sąsiedztwo, ale wnet wróci, tymczasem zaś zechcę może przyjąć szklankę limoniady lub oranżady, bo upał jest tak duszący, że nawet na tym ocienionym ganku zaledwie oddychać można.

Mówiła to wszystko powoli, ze swym smętnym uśmiechom na cienkich, bladawych wargach, głosem pieszczonym i znużonym. Mówiąc, poruszyła srebrny dzwonek, przy niéj na stoliczku umieszczony. W drzwiach domu zjawił się wnet lokaj, bardzo wykwintnéj powierzchowności.

— Oranżady! — wymówiła lakonicznie pani domu, i zwróciła się znowu do mnie z pytaniem, czy mam jakiś, stale określony, cel w zwiedzaniu téj smutnéj, pustéj okolicy, czy téż podróż moja jest tylko *une partie de plaisir, un moyen de se distraire*, w czasie tych nieznośnych, duszących upałów, które na tym ocienionym ganku nawet zaledwie oddychać pozwalają.

— Młodzi ludzie — mówiła daléj, — młodzi ludzie lubili niekiedy takie podróże *à la recherche de l'inconnu*; szkoda tylko, że u końca wszelkich podróży tego życia znajdujemy zwykle to, co spotkało nas u ich początku: zawody, rozczarowania, smutną prozę życia.

W niemałym znalazłem się kłopocie. Jak tu, wobec tak majestatycznie a melancholijnie zarazem wyglądającéj, tak delikatnéj i wzniośle nastrojonéj damy, rozpocząć trudną, nudną, poziomą rozmowę o interesach? A jednak była to matka człowieka, o którego

losy, i więcéj niż o losy, bo o sumienie i honor chodziło, jedyna od lat wielu gospodyni jego domu, najbliższa, zapewne, powiernica trosk i błędów jego. Godziłoż się pozostawić ją w niewiadomości gróźb, zwieszonych nad czcią i dolą jéj syna? Możnaż było nie zapytać jéj o środki ratunku, nie zawezwać rady jéj i sądu? Zebrałem się na odwagę, i w sposób bardzo oględny mówić zacząłem, iż celem przybycia mego do Przyborza była chęć pomówienia z panem Przyborskim o interesach, bardzo dla niego ważnych, a nawet... groźnych, że skoro jednak nie znalazłem go w domu, rad jestem, iż mogę naprzód przedstawić szanownéj matce jego stan rzeczy, który...

Nie dokończyłem. Pani Przyborska podniosła na twarz moję łagodne, przymglone spojrzenie pięknych jeszcze swych oczu, i powolnym ruchem podnosząc białą dłoń, z nad książki, spoczywającéj na jéj kolanach, miękkim głosem wyrzekła:

— Jestem kobiétą! o interesach najmniejszego nie mam wyobrażenia, wolę więc prosić pana, abyś był łaskaw zaczekać z tém na syna mego, który lada chwila zapewne nadjedzie.

— Przykro mi bardzo, — odrzekłem, — że zmuszony jestem odgrywać wobec państwa rolę przynosiciela złych wieści. Konieczność jednak zmusza mię wyznać, że w majątkowém położeniu swém jesteście państwo niebezpiecznie zagrożeni, a w podobnych okolicznościach sądziłem, iż powaga i głos matki, która nie przestaje nigdy być najbliższą przyjaciołką i opiekunką syna swego, mogły-by...

I znowu nie dokończyłem. Pani Przyborska łagodniéj jeszcze, niż wprzódy, spojrzała na mnie i rzekła:

— Jestem wdową! potrzebuję sama opieki męzkiej, i kilka lat temu właśnie, przez zbieg okoliczności, utraciwszy osobisty mój majątek, przybyłam tu, aby schronić się pod skrzydło mego syna. On więc tylko jeden rozstrzygać może o wszystkich tych kwestyach, które leżéć muszą zupełnie po-za obrębem sił i pojęć kobiéty... wdowy...

Milczała chwilę, potém znowu uskarżać się zaczęła na upał duszący, który, na tym nawet ocienionym ganku i t. d.

— Jakże szczęśliwi są, — rzekła, uśmiechając się lekko, — mieszkańcy Jowisza!

Zdumiony tém nagłém wtargnięciem w rozmowę poważnego wielce imienia starożytnego bożka i niebieskiego planety, milczałem.

— Tam wieczna panuje wiosna, — zauważyła z westchnieniem pani Przyborska.

Nie miałem nic do zarzucenia téj astronomicznéj hypotezie; milczałem więc znowu. Po chwili zadumy pani Przyborska zapytała mię, czy słyszałem, lub czytałem cokolwiek o wierze i nauce spirytystów. Z pokorą wyznałem, iż wiadomości moje o tym przedmiocie są wielce ograniczone. Wstrząsnęła głową z żalem i wskazała książkę, którą trzymała na kolanach. Ujrzałem wtedy, iż było to dzieło, noszące tytuł: *Księga duchów (le livre des esprits)*.

— Ludzkość cała powinna-by książkę tę umiéć na pamięć, — mówiła zwolna kobiéta, i zwracając na mnie wzrok dziwnie tym razem rozgrzany i wyrazisty, mówiła daléj:

— Wielka, wielka szkoda, że świat dzisiejszy, goniąc za materyalném użyciem i zyskiem, spuszcza z oczu te punkta wysokie i świetliste, z których płyną najwznioślejsze pociechy i nadzieje życia. Gdybyś pan był wtajemniczony w tę wielką naukę, (tu wskazała znowu księgę duchów), przyznał-byś pan niezawodnie, że ktokolwiek marzenia swe i nadzieje umieści tak wysoko, mało dbać musi o to, co go w téj ziemskiéj wędrówce spotkać może. Duchy... gwiazdy... podróż duchów po gwiazdach!... tak, podróż, bo, nie wiedząc o tém, przenosimy się wciąż z planety na planetę; tu tracąc doczesną swą formę, tam ją odzyskując... i tak... coraz wyżéj... coraz wyżéj...

Mówiąc to, podnosiła téż wzrok swój coraz wyżéj... coraz wyżéj... nie mogła przecież podnieść go zbyt wysoko, bo pomiędzy nim a niebieskiemi lazury rozpościerał się dach ganku, w ładne rzeźby ustrojony, ale brudny i mocno nadrujnowany. Spotkawszy się z tą prozaiczną i pyłem ziemskim aż nadto skalaną przeszkodą, majestatyczna a melancholijna niewiasta opuściła znowu spojrzenie swe na ten padół ziemski i, chcąc nie chcąc, zatrzymać je musiała na poziomej, za materyalnym zyskiem i użyciem stojącéj, człowieczéj méj postaci. Że zaś postać ta, niemająca żadnych bliższych stosunków ze spirytualizmem i gwiazdami, pozostawała wciąż milczącą, poruszyła z lekka batystową chusteczką, zdobną w hafty i koronki, i cichym głosem poskarżyła się znowu na upał duszący, od którego ten cienisty ganek nawet osłonić dostatecznie nie może.

Wkrótce przecież ozwał się na dziedzińcu turkot kół; po-przez sztachety ogrodowe bardzo przezroczyste, bo w połowie na ziemi leżące, zobaczyłem pędzący od bramy zgrabny kabryolet, w parę wielkich i cennych, acz mocno chudych, koni zaprzężony, a powożony przez wytwornie ubranego mężczyznę, w którym poznałem od razu pana domu.

Szybkim krokiem Waleryan Przyborski wbiegł na ganek, powitał matkę lekkiém, zbyt lekkiém skinieniem głowy, mnie zaś podał do uścisku obie ręce.

— Poznałem pana od razu, — zawołał, — choć to dobre lat kilka ubiegło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni... pamiętasz pan... wtedy... u naszego poczciwego kuchmistrza nad kuchmistrzami, Szarla!... Piekielnie dobrze ten Szarl gotuje! pamiętasz pan, jakie nam dał kotlety z jarząbków i *Champagne frappé*... ale prawda, przypominam sobie, żeś pan wtedy do kompanii naszéj należéć nie chciał! *Vous avez fait le prude!* hulaliśmy téż... co się nazywa!

— Waleryanie! — upomniała z cicha niewiasta w jedwabiach, i ukoronkowaną chustką swą twarz sobie z lekka przysłoniła.

— *Eh bien*, mamo! — zwrócił się ku niéj syn. — Cóż złego powiedziałem? Kobiéta przecież, w wieku mamy będąca, nie może nie wiedzieć o tém, że są na świecie tacy młodzi ludzie, którzy, jak się zbiorą do kupy, to poszumieć trochę lubią! A kobiéty to niby święte? Ot tyle tylko, że nie wolno im wszystkiego, jak nam, to i cóż robić? muszą udawać skromnisie! Ale zato co myślą!... gdyby tak w te myśli zajrzéć! ho! ho! Szumi tam lepiéj, niż w kieliszku szampana, a jak już przeszumi, to wtedy zaczynają się duchy... gwiazdy... łzy... etc!...

Mówiąc to, śmiał się głośno i nieco rubasznie, ale nie wiem, dlaczego wydało mi się, że śmiech ten nie był zupełnie szczerym i wesołym. Dźwięczało w nim coś gorzkiego, coś nawet jadowitego. Pani Przyborska powstała zwolna z kanapki i, szeleszcząc ogromnym trenem jedwabnéj swéj sukni, majestatycznie przesunęła się przez ganek i znikła w głębi domu. Patrzałem na nią, gdy odchodziła, i nie mogłem nie przyznać, iż kibić jéj wysoka, delikatna, koronkami opłynięta, wyglądała bardzo poważnie i wspaniale. Rzekł-byś, iż był to typ nieskazitelnéj jak kryształ, słodkiéj jak anioł, wykwintnéj, jak najsubtelniejszy kwiat arystokracyi — matrony.

Powierzchowność Waleryana Przyborskiego wcale inne nosiła cechy. Młodym był jeszcze, nie miał bowiem więcéj nad lat trzydzieści parę, ale włosy jego, niegdyś tak gęste, mocno już były przerzedzone nad czołem, zrysowaném parą poprzecznych, dość głębokich zmarszczek. Regularny owal twarzy jego zepsutym był nieco wzdymającą go lekko otyłością, taż sama otyłość zaczynała już widocznie zaokrąglać, tak smukłe niegdyś i doskonałe, kształty jego postaci. Z tém wszystkiém był to jeszcze piękny mężczyzna. Wielkie, piwne, długą rzęsą przymglone, oczy jego, prawdziwe oczy zdobywcy serc kobiecych, miały jeszcze wiele blasku, który wszakże rzucał mu na twarz całą wyraz obojętnego cynizmu i zjadliwego szyderstwa raczéj, niż świeżości sił ciała i ducha. W ogólności, syn ten matki-spirytystki, rozkochanéj w gwiazdach i duchach, marzącéj o wiecznéj wiośnie, panującéj na Jowiszu, wyglądał mocno na krańcowego materyalistę, z zagubionym do szczętu prawie pierwiastkiem duchowym.

Po odejściu matki, usiadł naprzeciw mnie w postawie kawalersko-niedbałéj, a podając mi roztwartą cygarnicę, zapytał:

— Jakież szczęśliwe losy sprowadziły pana w strony nasze?

Przystąpiłem od razu do spraw, będących celem przybycia mego tutaj. Wyjąłem z pugilaresu arkusz papieru, na którym spisałem był nazwiska wierzycieli wraz z cyframi, przedstawiającemu summę ich należności, i spis ten podałem Przyborskiemu, oświadczając, iż otrzymawszy od ludzi tych pełnomocnictwo prawne, czuję się w sumieniu mém obowiązanym do udzielenia im porady i pomocy, że jednak, przyjąwszy za zasadę unikać, o ile możności, wszelkich wystawiań na publiczną sprzedaż majątków ziemskich, przybyłem tu, dla rozmówienia się osobistego z właścicielem Przyborza, i dla naradzenia się z nim, czyby téż nie dało się obmyślić łagodniejszych środków jakichś i kombinacyi...

Słuchał mię, przebiegając oczyma podany mu przeze mnie spis nazwisk i cyfr. Zmarszczka, rysująca czoło jego, pogłębiła się nieco, ale postawy swéj niedbałéj nie zmienił wcale, a z ust nie zniknął mu, cechujący je wciąż, dwuznaczny uśmiéch.

— Ha! ha! — zawołał, — zebrali się tedy wszyscy razem i kupą do adwokata i do sądów! No, no! nie mam nic przeciw temu! niech się prawują!

— Jakto? — zapytałem, — przewidujesz więc pan, i gotów jesteś prowadzić z ludźmi tymi procesa? czy nie uznajesz pan słuszności ich żądań?

— Ależ owszem, owszem! przyznaję, najzupełniéj przyznaję wszystko, — odparł żywo i śmiejąc się. — Ale, widzi pan, tu nie dość przyznania, trzeba jeszcze i zapłacenia, a ja nie mam czém płacić...

— Może-by pożyczka w banku...

— Phi, — gwizdnął lekko, — Przyborów zastawiony w banku za czasów jeszcze króla *Ćwieczka*... i procenta się tam należą...

— Warto-by więc może pomyśléć o jakiéj korzystnéj dzierżawie...

— Nie warto. Majątek wyciśnięty jak cytryna. Grunt, panie, od dziesięciu może wiosen nawozu nie widział, łąki cudownie porosły wierzbiną i łoziną.. gdybyś pan widział, tobyś się zdumiał i zachwycał.. takie tam piękne potworzyły się altany i klomby, jakby w ogrodzie angielskiego stylu... inwentarza nie mam... ani wołu, ani owcy, ani osła... konie tylko są, ale i te zeszkapiały... I cóż mi za to wszystko dać może posesor? Tyle chyba, ile rocznie potrzeba na cygara dla mnie, a na konfitury i oranżady dla mojéj matki!

— Chciéj pan jednak zważyć, — rzekłem, — iż nie idzie tu o cygara i oranżady, ale o byt ludzi, z których nie jeden całe mienie swe honorowi pańskiemu powierzył.

Powstał żywo i przeszedł się parę razy po obszernym ganku, z głuchą jakąś niecierpliwością gryząc w białych zębach koniec cygara.

— A no! — rzekł, stając nagle przędą mną, — niech biorą majątek i podzielą się nim, jak sami zechcą...

— Jeżeli majątek znajduje się w stanie takim, o jakim pan mi mówiłeś, — wtrąciłem, — wartość jego nie sprosta sumie długów.

— A! — zawołał, wzruszając ramionami, — co to, to już do mnie nie należy. Oddam, co mam... nikt nie może dać więcéj nad to, co ma...

Mówiąc ostatnie wyrazy, pochwycił dzwonek, stojący na stole, i wstrząsnął nim silnie.

— Obiad podawać! prędzéj! — zawołał do zjawiającego się we drzwiach lokaja, — piekielnie głodny jestem, — kończył, zwracając się do mnie, — byłem dziś u Szumskich; pamiętasz pan Szumskich, tych, co to dwie córki mieli... hoże panny, jak sarny... Romansowałem kiedyś z obydwiema... jedna była gęś nad gęśmi, druga kokietka nad kokietkami. Ale one wszystkie takie, te kobiéty! Albo gęsi, albo kokietki! Za młodu to konfitury smażą albo balują, i co wąs, to ofiara! Na starość dopiéro zaczynają się romanse z panem Bogiem, albo wojaże po gwiazdach! Wiész pan co? jedni tylko Turcy w Europie rozumnym są narodem! Zamykają swoje baby w haremach! one bo na to tylko i potrzebne na świecie, więcéj na nic. Posażne panny... no... to jeszcze gatunek przydatny do celów utylitarnych... Ale inne... do haremu!

Stanął we drzwiach domu, i zawołał znowu donośnie:

— Obiad! prędzéj!... Jadłem to ja u Szumskich śniadanie, ale tam u nich kuchnia psia, nie ludzka! Zrazy jakieś były twarde, jak podeszew, i kasza donich ze szwedami! Brrr! Czy lubisz pan zrazy *à la Nelson*... tak, jak to je ten wasz Szarl nieoceniony urządza?...

Mówił to wszystko prędko, nie czekając odpowiedzi moich, żywo ruszając się po ganku i mowę przerywając sobie od chwili do chwili śmiechem. W cynicznéj nieco mowie téj, w towarzyszącym jéj śmiechu, trochę rubasznym, a trochę zjadliwym, w ustawicznéj téj, z pozoru tylko niedbałéj i wesołéj ruchliwości, tkwił przykry a widoczny przymus, było coś głęboko a tajemnie rozjątrzonego i niespokojnego.

— No! — zawołał po chwili, — nie dają obiadu! Kochany mój Marcin postanowił snadź dziś zagłodzić mnie i pana! A może to moja matka nie skończyła jeszcze czytać rozdziału o duchach, albo upinać koronki na głowie! U kobiet bo to tak zawsze! toaleta albo sentymenta, a że tam ktoś głodny albo zły mniejsza o to! Cóż robić? zrezygnujmy się i chodźmy tymczasem do ogrodu!

Milcząc, przypatrywałem się szczególnemu temu okazowi człowieka i bankruta. Zstąpiliśmy z wysokich, a kołyszących się pod stopami naszemi, wschodów ganku, i znaleźliśmy się na osłonecznionéj przestrzeni, łączącéj dom z długą, cienistą, środkową aleą ogrodu.

— Czytam na twarzy pana zdziwienie, — mówił gospodarz domu, idąc obok mnie i patrząc mi w twarz swemi przenikliwemi, zimno połyskującemi oczyma, — sądziłeś pan

zapewne, że perspektywa doszczętnéj utraty majątku przestraszy mię, i bladość na lica, a łzy mi do oczu sprowadzi. Widzisz mię pan tymczasem wesołym i niedbającym o nic. Nie sądź pan przeto, abym pogardzał nędzną mamoną. Przeciwnie, uważam ją może za jedną na świecie rzecz, szacunku godną. Tylko, widzi pan, kto żyje, jak ja żyłem, przygotowanym być musi na wszystkie przypadłości losu. Od kilku lat czuję się w Przyborzu gościem tylko, i miałem już dość czasu, aby pożegnać się w duchu z tém „rozkoszném ustroniem wiejskiém", jak je nazywa moja matka!

Milczał chwilę, potém mówił daléj:

— Zresztą, licha warto takie życie, jak to, które tu od kilku lat już prowadzę. Nudy i kłopoty, a czasem... nie uwierzysz pan może temu... ale czasem i głód nawet bywał! Ja mam już taką naturę, że byle czego nie zjem. Zdarzają się tedy wypadki, że jak na kredyt polędwicy nie dostanę, to matka na obiad konfitury jé, a ja cygaro palę... A ujadaj się wciąż z kredytorami, proś, albo kłóć się o to, żeby czekali, a wytrapiaj po okolicy nową coraz zwierzynę z pieniędzmi; po wytropieniu umizgaj się do niéj, żeby przed tobą wnętrzności swego brudnego worka wytrzęsła... Ph! dyable życie! lepiéj, że się to już wszystko raz skończy!

Pod chłodnym cieniem lipowych gałęzi znalazłszy się, zdjął kapelusz o szerokich brzegach, który włożył był na głowę, zstępując z ganku. Odsłonione tym sposobem czoło jego ukazało mi się dziwnie zmienioném. Jak wśród zmiętéj w dłoni karty papieru, rysowało się teraz na niém zmarszczek mnóztwo, mniejszych i większych, w różne strony pokrzyżowanych. W zmarszczkach tych wyczytać można było długie, długie szeregi trosk i wstrętów, następujących po chwilach szałów i upojeń, poziomych zabiegów i niższych jeszcze wyrzeczeń się, wewnętrznych targań się i burz jałowych, lecz dolegliwych. Przykry to był widok, tém przykrzejszy, iż z kształtnych warg młodego człowieka, ocienionych ciemnym, wykwintnie ułożonym wąsikiem, nie znikł ani na chwilę właściwy im uśmiech, pusty nieco, więcéj jeszcze szyderski i wyzywający. Z uśmiechem tym na ustach, a czołem zbrużdżoném, jak mętna i niespokojna fala, szedł on, chwilę, milcząc i ładną laseczką obijając liście z gałęzi lipowych, giestem niedbałym, prawie swawolnym... Potém zaczął znowu:

— Tak to idzie sobie to życie! Ja się tam znowu na swoje skarżyć nie mogę. Co użyło się, to użyło; co wypiło, to wypiło, i co nakochało, to nakochało. *Wein, Weib und Gesang*, trzy kapitalne na świecie rzeczy! Powiedział to nawet wcale ładnym wierszem wielki Szyller... Ziemia okrągła jest i toczy się około słońca, a ludzie z nią, to na wiérzchu, to pod spodem, mówi poczciwy Żminda...

— Żminda! — zawołałem, — czy wiész pan, gdzie on się teraz znajduje? Słyszałem kiedyś, te zamieszkał u pana...

— No, to go pan masz we własnéj osobie, — zaśmiał się mój towarzysz, i ręką wskazał mi człowieka, który, stojąc w cieniu owocowego drzewa, nadzwyczaj starannie i z wielkim trudem, szeroko wyrosłe i w dół opadające gałęzie grubemi i ciężkiemi drągami podpierał. Od piérwszego rzutu oka poznałem dawnego znajomego i zbliżyłem się do niego szybko.

— Jak się pan masz, panie Żmindo! — rzekłem, podając mu rękę.

Podniósł głowę i wpatrzył się we mnie oczyma, które bardziéj jeszcze mgliste i nieruchome były, niż dawniéj.

— Przepraszam, — wymówił z cicha, uchylając czapki, — nie wiem, czy mam honor...

Powiedziałem mu nazwisko moje. Twarz jego, blada i nabrzękła, ujęta w ramę wązkiego, mocno siwiejącego zarostu, rozjaśniła się radością.

— Pan Gucio! — zawołał, — przepraszam! pan August Rolicki!

Rękę swą dużą, grubą, zczerniałą od skwarów i pracy, a trzęsącą się mocno, położył na mojéj dłoni, i dość długo patrzał mi w twarz, z widoczném wysileniem wzroku i pamięci.

— Pamiętam... — zawołał, — pamiętam teraz doskonale... pan dobrodziéj podobny bardzo do nieboszczyka ojca swego, świéć panie nad jego duszą. Zacny to był obywatel i popularny. Ot, i nie poznałem pana... wzrok mi trochę tępieje... choć dobrze jeszcze widzę... dobrze...

Patrząc wciąż na mnie, a obu dłońmi przytrzymując drąg, którym gałąź podpierał, rzekł po chwili:

— A pamięta pan dobrodziéj naszę drogą pocztę?

Szeroki uśmiech roztworzył wargi jego grube a blade, lecz wnet zniknął. Nieruchome i mgliste oczy jego zamigotały, zaledwie widzialnie trzęsąca się głowa zatrzęsła się silnie i nerwowo.

— Skasowali, — ciągnął, — pan dobrodziéj wié o tém, że skasowali. Nową drogę... kolej gdzieś tam zbudowali... poczta już im była niepotrzebna... I ja niepotrzebny byłem... z etatu spadłem... stacyą dziedzic na oficynę przerobił... cóż było robić? poszedłem w świat! do pana Przyborskiego na służbę...

— Jesteś pan, jak widzę, ogrodnikiem? — wtrąciłem. — Zawsze lubiłeś pan drzewa i kwiaty, i uprawiać je umiałeś.

Twarz Żmindy, która przed chwilą powlokła się była wyrazem nieruchomego, stoickiego jakby smutku i znękania, rozjaśniła się znowu.

— Co to, to już mogę przyznać sobie, — rzekł, prostając się, jak niegdyś, z oznaką pewnéj, silnie uczuwanéj, godności własnéj, — na ogrodzie znam się, i chleba darmo nie jem... Ot, może panowie będą łaskawi zobaczą moję robotę... dwa lata tu jestem dopiéro, a mogę powiedziéć, że coś już zrobiłem... Niech panowie będą łaskawi pójdą ze mną i zobaczą, co zrobiłem...

— Dziwny stary — szepnął mi Przyborski — pójdźmy do domu, bo jeść chce się piekielnie!

— Przepraszam pana — odparłem również cicho — Żminda jest moim bardzo dawnym znajomym i nie mogę odmówić mu tego, co, jak się zdaje, sprawi mu wielką przyjemność.

— Służę, służę panu! — wyrzekł grzecznie pan domu, ale niedbały i szyderski uśmieszek, ustom jego właściwy, wyraźniejszym stał się, niż zwykle.

Żminda szedł przed nami, szerokim swym i ciężkim, cięższym jeszcze, niż dawniéj, krokiem. Gdy wyszedł z cieniu drzew, spostrzegłem, iż miał na sobie mundur urzędnika pocztowego, stary już bardzo, wynoszony, poplamiony, ale z guzami bardzo starannie snadź czyszczonemi i złocisto na słońcu błyszczącemi. U czapki jego wklęsłéj i zszarzałéj połyskiwała téż słabo srebrna gwiazdka urzędnicza.

— Wyobraź pan sobie — śmiejąc się zcicha, rzekł do mnie Przyborski — że starego tego nie widziałem w ubraniu inném, jak w tym mundurze. Ma on ich dwa. Jeden na codzień, drugi od święta, i nie wkłada na siebie nic innego, ani w zimie, ani w lecie. Sądzę, iż ubranie to musi mu przypominać czasy zgasłéj świetności. Tak mija chwała świata tego — dodał patetycznie.

Żminda zatrzymał się pośrodku wązkiéj alejki, starannie wygracowanéj i z obu stron osadzonéj pysznemi w istocie krzakami malin i porzeczek.

— O! — szerokim giestem wskazując uliczkę i krzewy, rzekł — ot to moja piérwsza robota. Kiedy przyszedłem tu, w alei trawa rosła po kolana wysoka, a maliny i porzeczki zdziczały... a teraz, panie dobrodzieju, czysto, pięknie, wygracowane, okopane i z tych ot krzaków zdjęto w tym roku więcéj niż dwadzieścia garncy malin i z dziesięć wielkich koszy porzeczek. Maliny wielkie jakby wiśnie, a porzeczki choć na królewski stół podawać. O!

Poszedł daléj i przyprowadził nas do gęstwiny młodziutkich drzewek, systematycznie na zagonach pozasadzanych, doskonale w istocie kształtnych i gładkich.

— To moja szkółka — zaczął — zasadziłem ją zaraz z piérwszéj wiosny, jak tylko się tu dostałem. W ogrodzie, panie dobrodzieju, drzewa stare... rychło rodzić przestaną... młodych natomiast trzeba będzie... a tu grunt nieużyteczny leżał... cielęta ekonomskie na nim się pasły... więc ja sobie, od cieląt tym oto płotkiem odgrodziwszy się, marsz w sąsiedztwo... tu i ówdzie... szczepek od ludzi uzbierałem, tu je przydźwigałem i zasadziłem... gatunki różne będą...

Mówił to wszystko powoli, z widoczniejszą jeszcze niż dawniéj trudnością znajdując i dobierając wyrazy, ale chodził pomiędzy drzewkami prędko, coraz prędzéj, a przy każdém z nich niemal zatrzymując się, wskazywał nam je palcem, nazwisko jego i gatunek wymieniając.

— A teraz panowie będą łaskawi na kwiaty może spojrzą. Kwiaty, to piękna także rzecz. Zjeść ani sprzedać ich nie można, ale patrzéć na nie miło...

Pochylony ku ziemi, przechodził od krzaku do krzaku i, pokazując nam z kolei najpiękniejsze okazy kwiatów swoich, trzęsącemi się dłońmi rozgarniał troskliwie zielony gęszcz, tu i ówdzie wyrywał zabłąkaną jakąś niepotrzebną trawę.

Obszedłszy dokoła kilka wielkich klombów, wyprostował się nakoniec. Gorący blask słońca padał mu prosto na twarz i uwydatniał mnóstwo zmarszczek, krzyżujących się na żółtawéj, nabrzmiałéj jego twarzy, wkoło warg grubych i bladych. Szybkie chodzenie i długie nachylanie się pod słonecznym skwarom zmęczyło go snadź bardzo, bo kroplisty pot spływał mu po ciemném ogorzałém czole, głowa jego trzęsła się widoczniéj niż wprzódy, a powieki, mrużąc się przed słońcem, przykrywały błękitne źrenice, na-pół senne, na-pół zadowoleniem jaśniejące.

— Bóg łaskaw — wymówił powoli, obie ręce wspierając na chropowatym kołku jakimś, z ziemi podjętym; — Bóg łaskaw — powtórzył. — Odebrano mi pracę jednę, dostałem inną. Wypędzono mię z gniazda mego, w którém dwadzieścia pięć lat przebyłem... znalazłem sobie przytulisko inne.

Wskazał ręką na małą bardzo, szarą budowlą jakąś, dającą się widzieć śród zieleni i ciągnął daléj:

— Ot widzi pan dobrodziéj, to mój domek ogrodniczy. Jedna izdebka i jedno okienko. Ale dosyć tego dla mnie, dosyć. Da Bóg, że już tu i życie moje skończę...

— Nie potrzebnie tylko zamęczasz się tak pracą, panie Żminda — niedbale wymówił Przyborski. — Wszak ja nie wymagam...

Żminda wyprostował się znowu, we właściwy sobie, pełen godności, sposób.

— Obowiązkiem moim — rzekł z powagą — obowiązkiem moim, panie dobrodzieju, jest pracować z całéj siły dla pańskiego dobra! A jakże? Gdybym nie pracował na chleb pański, kradł-bym.

— Bieda tylko — dodał, spoglądając na ręce swe, o kij sękaty wsparte, bieda tylko, że mi się jakoś ręce trochę trząść zaczynają... To ten mak, com się go za dziecinnych lat moich tyle napił i najadł... ten mak niezawodnie robi mi to trzęsienie się rąk i ten szum w uszach... Ale to nic... pracować jeszcze mogę... o! mogę! i dużo tu jeszcze do zrobienia jest w ogrodzie pańskim... Za jakich lat trzy albo pięć, zobaczą dopiéro panowie dobrodzieje, jak ja to pięknie wyhoduję i wycackam...

Mówiąc tak, potoczył wzrokiem dokoła, po drożkach i alejach, po klombach kwiatowych i drzewach owocowych i powtórzył znowu:

— Bóg łaskaw pozwoli może, iż tu już przynajmniéj życia mego dokończę!

W téj chwili u końca alei ukazał się idący ku nam śpiesznie lokaj z serwetą w ręku.

— *E viva!* — zawołał Przyborski. — Obiad nam oznajmują! Śpieszmy!

Skinął głową ku Żmindzie na znak pożegnania; ja uścisnąłem mu obie ręce, które, drżące i skwarem a pracą rozpalone, silnie jednak objęły na chwilę me dłonie.

— Dobre to były czasy! — szepnął raz jeszcze, wlepiając we mnie migocące swe źrenice — dobre dawne czasy! — powtórzył. — Pamiętasz pan, jakem państwu trzy razy na tydzień regularnie listy i gazety przynosił? Dawne czasy!

Śpiesznym krokiem ku domowi i obiadowi zmierzając, Przyborski rzekł do mnie:

— Wiész pan zapewne o tém, że miałem na sumieniu grzeszki jakieś, przeciw staremu temu kiedyś popełnione. Prawdę mówiąc, nic to tam nie było wielkiego. Żonkę miał młodą, ładną i wietrznicę, jakich mało. Wpadła mi w oko i jakoś tak niechcący pożyczyłem ją sobie u niego. Myślałem, że po niejakim czasie skarb ten zwrócę mu z dodatkiem czegoś brzęczącego. Ale pokazało się, że skarb wracać nie chciał do swego prawego właściciela. Szalała za mną kobiecina i desperowała, jakem ją w świat wyprawiał. No, ale cóżem miał innego zrobić z tym fantem? Kiedy jednak Żminda miejsce stracił i przytułku nigdzie nie miał, pożałowałem go, przeprosiłem i do siebie zabrałem.

— Czy Żminda nie lokował wypadkiem u pana kapitaliku swego? — zapytałem.

Uśmiechające się wciąż, usta jego drgnęły lekko pod wpływem przykrego jakiegoś uczucia. Niedbale jednak ramionami wzruszywszy, odpowiedział:

— Jaki tam kapitalik! Przez całe życie swoje uciułał stary nędzne pięćset rubli. Wartoż to było pracować i oszczędzać?

— W każdym jednak razie, owoc ten pracy i oszczędności całego życia jego znajduje się obecnie w ręku pana?

— W moich ręku — zaśmiał się pan Przyborski. — Zapytaj pan raczéj czterech wiatrów, co to z nim się stało?

— Wiatrów pytać nie będę, ale nazwisko Żmindy umieszczę na spisie wierzycieli pańskich — rzekłem.

— Umieszczaj pan na spisie swoim, kogo tylko chcesz. Brałem pieniądze, bom miał majątek, który za grzechy moje mógł odpowiadać. Niech go więc sobie biorą teraz i dzielą się nim, jak chcą. Ja nikomu kręcić i nikogo oszukiwać nie myślę i nie myślałem nigdy.

Ostatnie wyrazy wymówił z pewném uczuciem dumy i obrazy. Tym razem nie mogłem wątpić o szczerości słów jego. W istocie, oszustwo umyślne nie musiało wchodzić w skład charakteru ani planów jego. Tych ostatnich zresztą, czy to w dobrém, czy w złém znaczeniu, nie było zapewne w głowie jego i życiu całém ani śladu.

Rzadko bardzo w mém życiu zasiadałem do obiadowego stołu z taką niechęcią, jak dnia tego, Pani Przyborska na szeleszczących falach jedwabiu przypłynęła ku stołowi i, powiewając ukoronkowaną, woniejącą chusteczką, poskarżyła się zaraz na ten duszący upał, który nawet w chłodnych i ocienionych pokojach oddychać zaledwie pozwala.

Potém zaczęła bawić mię powoli, łagodnie i nadzwyczaj wytwornym stylem wypowiadanemi komunałami wszelkiego rodzaju. Widocznie rybka jakaś nieoględna dała się jeszcze niedawnemi czasy ułowić na wędkę pana domu, bo obiad był wyborny, niezbyt długi, ale z doborowych potraw złożony, a winem i wetami ubogacony. Pani Przyborska nic prawie nie jadła, piła tylko wciąż limoniadę i oranżadę i zaledwie dotknęła lekkiéj jakiéjś jarzynki i słodkiego blamanżu. Syn jéj za to jadł za nią, za siebie i za mnie. Nie był jednak żarłokiem, tylko smakoszem wytwornym i wytrawnym, lubującym się samym procesem jedzenia i znającym się wybornie na wszelkich odcieniach kulinarnéj sztuki. Przez cały czas zasiadania u stołu o niczém więcéj nie mówił, jak o względnéj wartości różnych potraw i najrozmaitszych sposobach ich przyrządzania.

O ile tylko przyzwoitość pozwalała, najprędzéj po obiedzie zabrałem się do wyjazdu. Przyborski nie zatrzymywał mnie wcale. Uważał mię słusznie za gościa całkiem oficyalnego i okolicznościowego, byłem dla niego zresztą zapewne zbyt nudnym i żenującym towarzyszem. Przeprowadzając mię do przedpokoju i uprzejmie bardzo podając mi rękę na pożegnanie, rzekł:

— Zmiłuj się pan tylko, jeżeli już będziesz mię likwidował, czyń to co najprędzéj. Chciał-bym bardzo całą tę nudną historyą mieć już za sobą, nie przed sobą.

— Ale cóż pan zamierzasz uczynić z sobą po sprzedaży Przyborza? dokąd się pan udasz? — zapytałem, bo zdumiewała mię wspaniała obojętność, z jaką człowiek, nieumiejący prawdopodobnie zapracować sobie na kawałek suchego chleba, a rozlubowany w pasztetach, mówił i myślał o doszczętnéj utracie swéj fortuny.

— O! nie jestem bynajmniéj w kłopocie z osobą moją — odpowiedział mi, śmiejąc się. — I owszem, razem z Przyborzem spadnie tylko z méj głowy ciężar nudy i kłopotów. Matka moja ma w gubernii W., o jakich ośmdziesiąt mil ztąd mieszkającą, starszą siostrę. Kobieta to bezdzietna, wdowa, ma milionowy majątek, a przepada za mną... wiész pan, szalone mam szczęście do kobiet... nawet do ciotek. Pojedziemy do niéj oboje z matką...

— Może téż — rzekłem — ciotka pańska, będąc tak bogatą, zechce zapobiedz sprzedaży majątku pańskiego, która, jak pan wiész, w obecnych okolicznościach większe i gorsze niż kiedykolwiek ma znaczenie? Może-by zgodziła się zaspokoić wierzycieli pańskich?

Wzruszył ramionami.

— Nie — rzekł — jakkolwiek bogata bardzo, ciotka moja oględną jest i oszczędną. Nadawała mi już nieraz mnóztwo pieniędzy; ale teraz tak wielkiéj sumy od razu wydać nie zechce. Wszystko mi to jedno zresztą, a nawet lepiéj. Wolę wyjechać z tych stron — daleko — na nowym świecie pokazać się i nowy świat zobaczyć. Okolicę tutejszą spenetrowałem *à fond* i ona mię także spenetrowała. Ludzie mię tu uważają za człowieka moralnie upadłego, a ja ich uważam za nudziarzy. Choćby najlepsza jednostajność sprzykrzyć się musi. *Toujours des perdrix*!

Ostatnie wyrazy wymówił już na ganku, poczém pożegnał mię uprzejmym uśmiechem i ukłonem pełnym wdzięku i, z zapaloném cygarem w ręce, nucąc z cicha, zniknął w głębi domu.

Przyborski mówił prawdę. Majątek jego znajdował się w stanie opłakanym. Sprzedać go z wolnéj ręki było niepodobieństwem prawie; suma zaś, mogąca być otrzymaną dro-

gą publicznéj sprzedaży, wyrównywała połowie zaledwie ogólnéj sumy długów. Wkrótce widoczną stało się rzeczą, iż po odbytym akcie likwidacyi, smutne resztki, pozostać mające, po opłaceniu należności rządowych i bankowych, posiadających zawsze bezwzględne piérwszeństwo przed należnościami prywatnemi, podpaść musiały konkursowi, czyli współubieganiu się o udział w nich, prywatnych wierzycieli. Proceder ten prawny, przykry zawsze i uciążliwy dla tych, którzy szukać w nim muszą ostatniego sposobu ratowania od zaguby dobra swego, tym razem przykrzejszym jeszcze był i obfitszym w opłakane skutki, z powodu znacznéj ilości osób miernego albo i malutkiego wcale funduszu, które do liczby wierzycieli Przyborskiego należały. I jak najczęściéj zdarza się w wypadkach podobnych, najmajętniejsi i, co zatém idzie, najoświeceńsi wierzyciele posiadali tu dokumenta najoględniéj sporządzone i najlepiéj uprawnione, więc znowu mające pierwszeństwo przed leciuchnemi wobec prawa świstkami papierów, będących w posiadaniu najuboższych, najpokorniejszych i najufniejszych. Z góry już i po najpobieżniejszém zestawieniu dokumentów, cyfr i artykułów prawa, obliczyć można było, że najuprzywilejowańsi zadowolnić się będą musieli cyfrą, wynoszącą 40 albo i 30 procent sum przez nich wypożyczonych; owi zaś wcale nieuprzywilejowani, maluczcy, cisi i ufni, spadną do okrągłego zera.

Pewnego dnia, po odbytéj pod prezydencyą moją burżliwéj i płaczliwéj naradzie wierzycieli, zaledwie zostałem sam jeden w gabinecie moim i ochłonąć zdołałem z przykrych wzruszeń, sprawionych mi łzami, wyrzekaniami, kłótniami i złorzeczeniami ludzi pokrzywdzonych i z prawowitego mienia swego obdartych, gdy oznajmiono mi, że znowu człowiek jakiś życzy sobie widziéć się ze mną.

Po chwili ujrzałem wchodzącego i na progu pokoju nieśmiało zatrzymującego się starca, barczystéj i ciężkiéj budowy ciała, z wielką głową, okrytą mocno siwiejącemi włosami, z wązkim, białym prawie, zarostem, otaczającym żółte, nabrzmiałe policzki. U wyszarzanego lecz bardzo czystego odzienia jego błysnęło mi przed oczyma kilka złocistych guzików — poznałem Piotra Żmindę.

Śpiesznie postąpiłem na spotkanie starca i, uścisnąwszy jego rękę, posadziłem go na wygodnym fotelu. Oddał mi zwykły sobie, powolny i poważny, ukłon, drżąca ręka jego silnie objęła na chwilę dłoń moję, źrenice jego błękitne, zawsze przymglone, na-pół senne, tonęły uporczywie w méj twarzy, ale nie wyrzekł z razu ani słowa. Poruszył wprawdzie ustami, jak człowiek, który chce coś powiedzieć, ale nie powiedział nic. Wydawał się zmieszanym, jakby bardziéj przygnębionym i smutnym. Nie wiem, czy był to skutek innego, niż przed kilku miesiącami, otoczenia, w jakiém go ujrzałem, czy w ogrodzie Przyborskiego upalne słońce i świeża zieleń drzew korzystniéj oświetlały steraną tę postać, niż białe, monotonne światło dnia zimowego, w którém nurzał się mój gabinet; ale Piotr Żminda wydał mi się przez czas ten krótki mocno zmienionym. Starcem wydawał się już wtedy, ale dość silnym jeszcze, spokojnym na umyśle, przytomnym, do pracy, pomimo lekkiego drżenia rąk, zdolnym. Teraz ogarniać go już wyraźnie zaczynała zgrzybiałość. Nietylko ręce, ale i głowa jego poruszała się ustawiczném drżeniem, a usta na-pół otwarte, i nieruchome, senne źrenice oblekały mu twarz wyrazem idyotycznego niemal osłupienia.

Patrzał na mnie długo, uporczywie, a piérwszemi słowami, które wymówił, było pytanie:

— Czy pamięta pan dobrodziéj naszę drogę pocztową? Dawne czasy!

Widok mój przywoływał mu snadź zawszą przed wyobraźnią najlepsze, najdroższe, niezapomniane nigdy, wspomnienia przeszłości.

Westchnął, głowa zatrzęsła się mu silniéj i widoczniéj, potém powoli bardzo i z wielką trudnością mówić zaczął:

— Ja do pana dobrodzieja przyjechałem z prośbą... po dawnéj znajomości... Pan dobrodziéj wié pewno o tém, że panu Przyborskiemu sprzedają majątek... za długi podobno... zresztą, nie wiem dlaczego, bo gadaninie ludzkiéj nie można bardzo wierzyć... dość, że sprzedają, a mnie z ogrodu Przyborskiego wyprawiono precz... oto widzi pan dobrodziéj spadłem znowu z etatu...

Coś jakby uśmiech na-pół żałosny, na-pół gorzki, przesunął się po ustach jego, gdy wymawiał te ostatnie wyrazy.

— A! — dodał po chwili — co robić? Taka już widać wola Pana Boga nade mną! do czego tylko przywiążę się, czy do miejsca, czy do jakiéj duszy ludzkiéj... zaraz mi precz z oczu idzie! Powiem prawdę... przywiązałem się już był do drzew, które pielęgnowałem, do tych szczepków, które sam zasadziłem... pan dobrodziéj sam widział, będąc przeszłego lata, jak u mnie wszystko porządnie było i czysto... jakie balsaminy u mnie kwitły... gdyby róże... Nie to to było, co nasza droga pocztowa... he, he! daleko tam ogrodowi do naszéj drogi i do tego ogródka, com go sam koło poczty zasadził i wypielęgnował... ale przywiązałem się i do tego, przywykłem... myślałem, że tam już głowę moję do snu wiecznego położę... ale kiedy nie można, to nie można, trudno!

Spuścił trzęsącą się głowę na piersi, szklisty wzrok utkwił w przestrzeni i milczał znowu.

Teraz pojąłem wielką zmianę, która zaszła w powierzchowności jego przez krótkie kilka miesięcy. Dotknął go ból nowy, na steraną głowę jego spadło nowe upokorzenie, przed krokami jego otworzyła się nowa ścieżka tułaczki... I tak stopniowo, człowiek ten, jak wosk w ogniu, tajał i znikał w żałościach życia!

Po chwili ocknął się ze swéj ołowianéj, osłupiałéj zadumy i, podnosząc wzrok na twarz moję znowu, mówić zaczął:

— Ja do pana dobrodzieja z prośbą... po dawnéj znajomości... oto taka jest rzecz. Ulokowałem u pana Przyborskiego mój kapitalik... niewielki... pięćset rubli... gdybym żył u niego, jak żyłem, niech-by tam sobie grosz ten leżał aż do mojéj śmierci, a po śmierci może-by go krewni zabrali... ale ponieważ kazano mi wynosić się z Przyborza... muszę sobie szukać przytułku jakiegoś... Chciałem zgodzić się gdzie w innym dworze za ogrodnika, ale nie przyjmują nigdzie... na siwą głowę moję patrzą i na trzęsące się ręce... mówią, żem stary, do pracy już niezdatny i nie przyjmują... cóż robić? nie narzucać się gwałtem ludziom! ale oto znalazł się brat przyrodni... z macochy téj urodzony, co to, niech jéj Bóg nie pamięta, makiem poiła mię i karmiła, kiedy dzieckiem byłem... brata tego, panie dobrodzieju, ja tak jak nie znałem, bo macocha nie dozwoliła nigdy, abyśmy się z sobą poznali i polubili... ale on przed niedawnemi czasy przyszedł do mnie i powiedział: „Słuchaj Pietrze! panu Przyborskiemu sprzedają majątek za długi. Ciebie ztąd wyprawią, bo stary już jesteś i na służbę się nie zdałeś. Nie będziesz miał znowu przytuliska żadnego. Odbierz grosz swój od Przyborskiego i w naszéj chacie rodzicielskiéj zamieszkaj. My ciebie do śmierci dochowamy w szacunku i wygodach takich, na jakie nas stanie, a ty nam kapitalik swój po śmierci swéj zostawisz. Będziesz miał sam starość spokojną i dzieciom naszym do wyjścia z biedy téj, co nas gniecie, dopomożesz". Zastanowiłem się ja, panie dobrodzieju, nad propozycyą tą i zgodziłem się na to, czego brat chciał. Tylko pieniędzy tych mi trzeba, a tu pan Przyborski, jak go o nie prosiłem, zaczął śmiać się... nie wiem, panie dobrodzieju, nie wiem prawdziwie z czego... i powiedział: „a zkąd ja tobie, poczciwy człeku, pieniędzy wezmę? Idź do tego adwokata, co mi majątek sprzedaje, i poproś go, żeby ci oddał, co należy!" Ludzie mi powiedzieli, że ten adwokat, to pan... więc przyjechałem i oto proszę pana dobrodzieja... po dawnéj znajomości...

Umilkł, a ja przez długą chwilę nie mogłem zdobyć się na odpowiedź żadną. Biedak! stary, samotny, okradziony biedak! myślałem.

— Czy masz pan dokument jaki? oblig, wexel?.. — zacząłem.

— A jakże, panie dobrodzieju — przerwał spiesznie — a jakże! mam kartkę... własną ręką jego napisaną...

Z wewnętrzną obawą, lecz i z trochą nadziei jeszcze, sięgnąłem po świstek papieru, który Żminda podawał mi trzęsącą się ręką. Niestety! dość mi było jednego rzutu oka, aby poznać całą nicość prawną osobliwego tego dokumentu. — Była to zwierzchnia połowa ćwiartki listowego papieru, nadzwyczaj eleganckiego, ze złoconemi brzegami, z wylitografowaną u góry cyfrą Przyborskiego i umieszczoną nad nią, bardzo misternie przyozdobioną, koroną szlachecką. Na połyskującém, welinowém tle szpargałka, znajdowało się kilka wyrazów niewyraźnie nabazgranych a zakończonych podpisem jeszcze niewyraźniejszym, parą jednak bardzo wspaniałych zygzaków przyozdobionym. Pośpiech w pisaniu kartki téj był tak wielkim, że nie było na niéj daty żadnéj.

Trzymając w ręku smutny ten dokument, zapadłem w długie i przykre zamyślenie. Bez wątpienia był to pomiędzy dowodami, posiadanemi przez wierzycieli Przyborskiego, dowód najniedbaléj i najmniéj prawnie sporządzony. Wobec praw i obyczajów, rządzących

postępowaniem konkursowém, musiał on być uważanym za najostateczniejszy z ostatnich. Tam zaś, gdzie najsilniejsze dowody otrzymać miały połowę zaledwie, albo mniéj jeszcze praw sobie przynależnych, jakim być mógł udział tego najsłabszego? Naturalnie żaden.

Ale jakże oznajmić miałem starcowi temu wieść tę; druzgocącą ostatnią jego nadzieję, zamykającą przed ostatniemi dniami jego życia jedyną spokojną uchronę, która mu w zamian za to utracone przez niego dobro ofiarowano? Gdyby przykra ta okoliczność zaskoczyła mię była w kilka lat późniéj, otworzył-bym był własny pugilares... a Żmindzie powiedział-bym, że wypłacam mu z funduszów Przymorskiego. Podówczas jednak, postępek taki był dla mnie do wykonania niepodobnym. A! pomyślałem, trzeba jeszcze iść *do nich*, przemówić, spróbować... kto wié? może jeszcze posiadają cokolwiek? może mi uda się z *nich* co wydobyć?

— Czy pobierasz pan emeryturę jaką? — zapytałem jeszcze.

— Nie, panie dobrodzieju, — odpowiedział spokojnie, — roku mi jeszcze do niéj niedostawało, gdy straciłem posadę...

Wstałem i, powiedziawszy Żmindzie, że idę na miasto dla rozmówienia się o interesie jego z kim należy, prosiłem go, aby zaczekał na mnie w gabinecie moim.

— Każę tu panu podać śniadanie — rzekłem.

— Dziękuję panu dobrodziejowi, — odpowiedział, kłaniając się ze zwykłą sobie powagą, — przyjechałem z bratem, a on miał ze sobą kawał chleba i séra, tośmy sobie i razem przekąsili... nie jestem głodny.

Dla większego pośpiechu, siadłem na miejską dorożkę i kazałem zawieść siebie do najparadniejszego w mieście naszém hotelu, w którym wiedziałem, że od dwóch tygodni przebywają Przyborscy. Wskazano mi jeden z najcenniejszych numerów hotelowych. Wszedłem.

Składające numer trzy pokoje, dość obszerne i wytwornie umeblowane, znalazłem pogrążone w nieładzie wielkim. Widocznie trafiłem w przedchwilę wyjazdu zamieszkujących je osób. Na posadzce stały i leżały liczne, wypakowane mocno, a już zamknięte kufry i tłomoki. Pośrodku jednego z pokojów stał stół, okryty sutemi resztkami spożywanego przed chwilą śniadania, poręcze krzeseł i kanap obwieszone były kobiecemi i męzkiemi szalami, futrami, torebkami, różnemi, słowem, ubraniami i przyborami podróżnemi.

Pani Przyborska siedziała na kanapie, w zwykłéj sobie, majestatycznéj postawie, i ze zwykłym téż, łagodnym i smętnym nieco, wyrazem twarzy, kończyła składać do ładnego bardzo, podróżnego woreczka, różne, na stole rozrzucone, drobiazgi i graciki. Syn jéj siedział jeszcze przed śniadaniową zastawą. Serweta, zawiązana pod ciemną, starannie uczesaną jego bródką, chroniła od wszelkiéj plamy i skazy przód eleganckiego podróżnego ubrania, które miał on na sobie; w jednéj ręce, o stół wspartéj, trzymał szklankę, do połowy jeszcze napełnioną winem, drugie ramię zarzucił na poręcz krzesła i, z twarzą zwróconą ku pogrążonéj w układaniu drobiazgów matce, patrzał na nią z cechującym fizyognomią jego wyrazem pogardliwéj niedbałości i szyderskiéj nieco przekory.

Ujrzawszy mię wchodzącego, Przyborski powstał żywo i jedną ręką zdejmując z szyi serwetę, drugą podał mi na powitanie giestem uprzejmym i swobodnym. Pani Przyborska skłoniła ku mnie głowę w sposób poważny, a zarazem bardzo grzeczny, a zwracając na twarz moję łagodne, powłóczyste swe wejrzenie, i wskazując mi ręką fotel, przy kanapie stojący, rzekła miękkim, znużonym głosem:

— Jakąż okropną mamy w tym roku zimę! Mrozy są tak straszne, że w tém ciepłém mieszkaniu nawet zaledwie oddychać pozwalają!

A jednak zdawała się być doskonale zabezpieczoną od przykrych wpływów zimna: długi, aksamitny kaftan, łabędzim puchem podszyty, a doskonale jednak smukłą kibić jéj uwydniający, szerokiemi połami obejmował bogate fałdy jedwabnéj jéj sukni; z pod fałd tych wysuwająca się, drobna jéj nóżka, zamknięta była w również aksamitnym buciku, kosztowném futerkiem obłożonym.

— Co tam mróz! — zawołał Przyborski, siadając przy mnie i podając mi cygaro, którego nie przyjąłem. Niéma lepszego sposobu rozgrzania się w tęgie mrozy; jak wypicie szklanki czystego, prawdziwego *bordeaux*? Wiész pan co? ten wasz *Szarl* jest zawsze niedorównany i, doprawdy, opuszczając te strony, jego to, zdaje się, najbardziej, a może i jedynie żałuję! Wino daje przepyszne! a kuchnia! Szkoda, żeś pan nie przyszedł o kwandrans wcześniéj. *Szarl*dał nam dziś śniadanie pożegnalne, co się zowie! kotlety z jarząb-

ków, potrawa to jego własnego wynalazku. Gdybym był panującym, kazał-bym za nie wybić na cześć jego medal pamiątkowy!

Gdy umilkł, najchłodniéj, jak tylko mogłem, oświadczyłem, że przyszedłem dla pomówienia o interesie.

— O interesie! — ze zdumieniem na twarzy powtórzył Przyborski, — czyż ktokolwiek na świecie może miéć jeszcze do mnie jaki interes? Oddałem przecież wszystko, co miałem... cóż więcéj uczynić mogę?

Nie dając mu bezpośredniéj odpowiedzi, wymieniłem nazwisko Żmindy.

— Wielu tu pozostanie ludzi ciężko przez pana pokrzywdzonych, — mówiłem — ale z pomiędzy nich Żminda jest najstarszym, najniedołężniejszym, najbardziéj osamotnionym...

— Ależ przecie, — z giestem niecierpliwości przerwał mi Przyborski, — przecież ma on kartkę, którą mu napisałem, biorąc od niego pieniądze... nie brałem nigdy od nikogo pieniędzy, nie dając w zamian dowodu...

— Kartka pańska, Żmindzie dana, odrzuconą będzie przez konkurs bezwarunkowo... na mocy jéj nie wypłacą mu ani grosza...

Czoło Przyborskiego zmarszczyło się znowu w ten przykry sposób, który na całą fizyognomią jego zdawał się rzucać ponury odblask źle przeżytéj przeszłości. Utkwił wzrok w ziemi i milczał chwilę. Potém, czyniąc obu rękoma giest niecierpliwy, rzekł:

— A więc cóż pan chcesz, abym uczynił? Oddałem wszystko co miałem...

Znaczącém spojrzeniem powiodłem po suto wypakowanych i wykwintnemi ozdobami błyszczących tłómokach z angielskiéj skóry, po licznych a cennych, na sprzętach wiszących, szalach i futrach. Przyborski zrozumiał myśl moję. Szyderski uśmiech przesunął się mu po ustach.

— Wszystko to — rzekł — jest osobistą własnością mojéj matki.

— W takim razie — odpowiedziałem — nie pozostaje mi nic innego, jak ze słuszném żądaniem mojém zwrócić się do matki pana.

Usłyszawszy te wyrazy, pani Przyborska oderwała wzrok od gracików, które układała wciąż i przekładała w woreczku swym, i miękkim swym, przyciszonym głosem, wyrzekła:

— Jestem kobietą...

— Pani... wtrąciłem z ukłonem.

— Jestem kobietą, — nie dając sobie przerwać, mówiła daléj, — na interesach nie znam się i nigdy się niemi nie zajmowałam. Raczcie więc panowie nie mieszać mnie do smutnych tych, a niezrozumiałych dla mnie okoliczności.

Czułem się oburzonym i wzburzonym, miarkując jednak o ile możności głos mój do prawideł ścisłéj grzeczności, rzekłem:

— Przykro mi bardzo, ale zmuszony jestem oświadczyć, iż w interesie klientów moich, urzędowym sposobem sprzeciwię się wyjazdowi ztąd państwa i żądać będę sprawdzenia tytułów własności, odnoszących się do przedmiotów, które tu widzę.

Słowom tym odpowiedział cichy, zjadliwy nieco śmiéch Przyborskiego. Ale w twarzy pani Przyborskiéj najlżejsza nie zaszła zmiana. Z témże samém, zawsze łagodném wejrzeniem i smętnym uśmiechem na ustach, jednostajnie, miękko i powoli, odpowiedziała:

— Jestem wdową... potrzebuję więc opieki i obrony, a jakkolwiek na interesach nie znam się wcale, przewidziałam, iż, śród nieszczęść, które dotknęły syna mego, mogę być także przez nieprzyjaciół jego atakowaną. Uzbroiłam się więc w dowody, które przekonają pana, iż wszystko, co tu pan widzisz, jest osobistą moją własnością.

Powolnym giestem wydobyła z woreczka wielki arkusz papieru, we czworo złożony, i podała mi go leniwym, pełnym wdzięku ruchem. Przebiegłem oczyma zawartość papieru. Było to urzędowo sporządzone poświadczenie tytułów własności pani Przyborskiéj do przeróżnych, uwożonych przez nią, przedmiotów, jako to: garderoby, biżuteryi, sreber stołowych i t. d Co więcéj, zaświadczenie to było słuszném. Przedmioty te były natury takiéj, że musiały w istocie stanowić osobistą jéj własność. Zachodziło tylko pytanie, nic zresztą wspólnego z prawem niemające, czy nie były one nabytemi za pieniądze jéj syna, więc z kolei za te pieniądze, które sposobem pożyczek wyjął on był z kieszeni — zbyt ufnych biedaków!

Po chwili rozmyślania, zwróciłem się znowu do majestatycznéj damy, która, w znużonéj postawie na kanapie siedząc, otulała się w téj chwili właśnie aksamitno-łabędziém

swém okryciem i z cicha wyrzekać zaczęła na zimno, które w tém ciepłem mieszkaniu nawet zaledwie oddychać pozwala.

— Nie pozostaje mi więc nic innego, — rzekłem — jak zakołatać do serca pani i udać się do niéj z prośbą... Człowiek, za którym wstawiać się będę, znanym jéj być musi. Jest to starzec bezdzietny i osamotniony... pracował dla państwa przez lat kilka, i nietylko żadnego za to nie otrzymał wynagrodzenia, ale jeszcze w ruinie syna pani zagubił swój fundusik, jedyny sposób utrzymania się przy końcu życia...

Umilkłem i śród białéj, delikatnéj, jak listek liliowy, parą zaledwie drobnych zmarszczek zrysowanéj, twarzy kobiéty, szukałem wrażenia, jakie wywrą na nią słowa moje. Nie wywarły żadnego.

— Jestem kobietą — rzekła — nie wtrącam się wcale do administracyi domu mego syna; niewiem, kto i jaką otrzymywał od niego zapłatę... nie zaciągałam nigdy u nikogo pożyczek żadnych...

— Tak — odparłem — wobec prawa téż cała ta smutna historya nie obowiązuje pani do niczego. Śmiem mniemać jednak, iż, jako matka, zechcesz pani oszczędzić honorowi syna swego jednéj przynajmniéj plamy... z sumienia jego zdjąć jeden przynajmniéj ciężar...

Mimowoli prawie rzuciłem okiem na pyszną kameę, która, w złoto oprawna, spinała u szyi aksamitne jéj okrycie, na kilka pierścionków, które błyskami brylantów i szmaragdów zdobiły białe, podłużne, przezroczyste niemal jéj ręce, i dokończyłem:

— Fortuny takie, jak ta, którą posiadaliście państwo, topniejąc nawet i znikając, pozostawiają jeszcze po sobie byłym właścicielom swym resztki, cenniejsze, niż całe nienaruszone majątki biedaków. Spieniężenie małéj części przedmiotów, które znajdują się w posiadaniu pani, wytworzyło-by sumę, mogącą zaspokoić słuszne żądania człowieka, za którym proszę. Człowiek ten pani, to — starzec... nędzarz!

Gdy wymawiałem ostatnie wyrazy, pani Przyborska zasłoniła sobie oczy batystową chusteczką i siedziała chwilę nieruchoma, płacząc niby cicho, niby głęboko rozmyślając. Zaczynałem już miéć dobrą nadzieję i wyznaję, że z rodzajem niecierpliwéj pożądliwości spoglądałem na zdobiące jéj palce pierścienie, myśląc, iż prawdopodobnie dwa lub trzy z nich tylko sprzedać będzie trzeba, aby wypłacić Żmindzie jego należność. Nagle pani Przyborska twarz odsłoniła. Piękne, błękitne oczy jéj mgliły się w istocie łzawą wilgocią, po cienkich, blado-różowych ustach wił się uśmiech o zdwojonym smętku. Otworzyła nakoniec usta te, i z dźwiękiem smutnéj a cichéj rezygnacyi w głosie; wymówiła:

— Jestem wdową.

Zdaje się, że była-by mówiła coś więcéj jeszcze, ale przerwał jéj głośny i ostro brzmiący wybuch śmiechu jéj syna.

— O! — zawołał, śmiejąc się, — jakże piękném jest zadaniem stawać w obronie uciśnionych i nieszczęśliwych! Nie gniewaj się pan na mnie i racz za niewłaściwy żart nie poczytywać tego z méj strony, jeśli ośmielę się panu, jako prawnikowi, powinszować daru wymowy i nieporównanego zapału, z jakim bronisz pan spraw sobie powierzonych! Doprawdy, ja i pan, przedstawiamy teraz dwóch niby duchów, wydzierających sobie wzajem dusze niewinne a zgnębione! Ja, naturalnie, jestem duchem ciemności, a pan światłości! A! cóż robić! gdybym był tak jak pan od wczesnéj młodości méj poznał życie ze strony białéj, świetlistéj, surowéj, byłbym może także duchem światłości! Tymczasem zaś, pan jesteś adwokatem — ja jestem bankrutem. Pan bronisz mienia i honoru ludzi — ja je rujnuję! Stało się! spełniamy każdy na świecie rolę nam możliwą i stoimy na dwóch przeciwległych biegunach świata. Z tém wszystkiém, pozwól pan, abym mu na pożegnanie serdecznie dłoń uścisnął!

Naturalnie, uczyniłem takie poruszenie, które-by dawało do poznania, że propozycyi, zawartéj w ostatnich słowach Przyborskiego, nie słyszę, albo téż, słysząc, przyjąć jéj nie chcę. Pomimo to, patrzałem mu w twarz bacznie i przyznaję się, że z ciekawością. W istocie, człowiek ten przedstawiał w chwili owéj widok arcy-ciekawy. Śmiał się wprawdzie głośno i na pozór swobodnie; ale w śmiechu tym dźwięczały co chwila nuty jakieś ostre, fałszywe, nieledwie spazmatyczne, a czoło jego było znowu zbrużdżone i zmięte w mnóztwo zmarszczek drobnych i przykrych. Nie znałem go nigdy dosyć, abym napewno zawyrokować mógł, do jakiego stopnia natura jego złą była sama przez się, a do jakiego zepsuły ją okoliczności wychowania i otoczenia; nie mógłbym téż sądzić i o tém,

czy w porze owéj jakiekolwiek wpływy zdolne były jeszcze zwrócić go na inną drogę, ku innym myślom i przyzwyczajeniom. To jednak pewném mi się wydało wtedy i dotąd wydaje, że, wygłaszając swą wpół sarkatyczną, wpół wesołą tiradę, człowiek ten nie czuł się bynajmniéj tak swobodnym, jakim okazać się pragnął; że, czyniąc porównanie zadań, które obaj pełniliśmy na świecie, uczuwał zatapiające się mu w serce żądło, jemu samemu może niezrozumiałéj zazdrości, że nakoniec była to jedna z tych chwil, koniecznych acz najczęściéj jałowych, w których najtwardsza, najbłotnistsza nawet pierś ludzka, uczuwa w sobie, choćby na mgnienie oka, bolący spazm zatrutego sumienia...

W téjże chwili wszedł hotelowy sługa, oznajmując, iż powóz, mający odwieźć Jasnych Państwa na stacyą kolei żelaznéj, już jest gotowy, i że jechać należy śpiesznie, albowiem pociąg lada chwila nadejdzie. Twarz Przyborskiego rozjaśniła się szybko.

— *Maman*, — rzekł, biorąc z poręczy kanapy pyszne, tumakowe futro kobiéce i stojąc z niém przed matką — pora jechać!

Maman podniosła się z kanapy, znużona, poważna, łagodna, i poskarżyła się na ten mróz okropny, który nawet w ogrzanym wagonie zaledwie oddychać pozwoli!

W kilka minut potém, powóz, unoszący tę parę ludzi, wyminął mię na ulicy i spiesznie posunął ku dworcowi kolei. Patrząc za nim, gdy oddalał się, szalonéj doświadczyłem ochoty wskazać go napełniającym ulicę ludziom i zawołać: „Złodzieje! łapcie złodziejów!"

Żmindę znalazłem siedzącego w gabinecie moim, w téj saméj postawie i na tém samém miejscu, na którém go zostawiłem. Nie pamiętam już, jakich dobrałem wyrazów i jakich użyłem ostrożności, aby uwiadomić go o nowym, spadłym nań ciosie. Z razu nie uwierzył słowom moim. Podniósł głowę, spojrzał na mnie zdumionemi oczyma i, uśmiechając się, rzekł:

— Pan dobrodziéj żartuje! gdzieżby zaś pan taki bogaty, za pozwoleniem, ukraść miał ubogi mój grosik!

Wytłumaczyłem mu w kilku wyrazach bankructwo Przyborskiego, znaczenie mającego nastąpić konkursu i bezwarunkową nicość posiadanéj przez niego kartki. Słuchał, zaczerwienionemi powiekami swemi coraz prędzéj, coraz nieustanniéj mrugał, ręce i głowa trzęsły się mu téż coraz silniéj i widoczniéj, nakoniec z dziwnym, nieopisanym uśmiéchem na bladych, zwiędłych wargach, tak cicho, że zaledwie dosłyszalnie, wymówił:

— Tak tedy, panie dobrodzieju, ja znowu spadłem z etatu!

W parę minut potém, tym samym głosem, tylko z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy, wyrzekł:

— Obywatel!... skończenie świata... obywatel!..

Potém już zapadł na długo w milczenie zupełne. Siedział na fotelu nieruchomy, z przygarbionemi nieco szerokiemi barkami, z rękoma, które splecione w zdumieniu, jakby w rozpaczy, trzęsły się mu jednak na kolanach, z drżącą téż siwą głową, opadłą na piersi. Siedział tak długo, dwie, trzy może godziny. Niepodobna mi było odgadnąć, o czém myślał, i czy nawet myślał o czémkolwiek; ale, nie znajdując dla niego stosownych słów pociechy, nie chcąc zaś próżném mówieniem kołatać bardziéj jeszcze zmąconą myśl jego, usiadłem z dala przy biurku mojém, i smutny sam, gniewny, rozstrojony, zatopiłem się w pilnéj jakiéjś i pochłaniającéj robocie. Nad wieczór dopiéro, Żminda podniósł głowę, a zwracając ku mnie twarz, niespodzianie zapytał:

— Czy téż pan dobrodziéj pamięta moję małą Salusię?

A gdy odpowiedziałem twierdząco, dodał ciszéj:

— Ze szkarlatyny umarła!

Milczał jeszcze minut parę, potém, zniżonym, monotonnym głosem i nadzwyczaj powoli, mówił znowu:

— Widzi pan, ja te pieniądze zaczynałem był zbierać na posag dla niéj... niemłodym już będąc, myślałem sobie: może mię wkrótce nie stanie na świecie, niech dziecko ma przynajmniéj grosz jaki! Ot! ja, żyję, a jéj nie stało... Córki niéma i... nic niéma!

Wymówiwszy ostatnie wyrazy, podniósł się z siedzenia i wziął z krzesła wyszarzaną czapkę swą ze srebrną gwiazdką.

— Trzeba iść, — rzekł, — brat czeka tam na mnie w zajeździe... Trzeba mu to powiedzieć... może i tak przyjmie mnie do chaty, a może nie... Wola Bozka!

Kiedy wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie, wcisnąłem mu w dłoń asygnatę dość znacznéj wartości, z wewnętrzną obawą, że może przyjąć jéj nie zechce. Przyjął jednak.

— Dziękuję panu, — rzekł bardzo cicho, oddam to bratu... może mię przyjmie do chaty... a może nie!...

I nie oddał mi już, odchodząc, tego zwykłego mu dawniéj poważnego ukłonu, w którym znać było wewnętrzne, choć bezwiedne może, poczucie osobistéj godności, w którym człowiek niezgrabny, i z pozoru głupowaty, objawiał się człowiekiem uczciwie pracującym i niczego od nikogo niepotrzebującym. Gdy żegnał mię i dziękował za dar otrzymany, szerokie plecy jego przygarbiły się, jakby spadło na nie ciężkie jakieś, acz niewidzialne, brzemię; siwa głowa zatrzęsła się silniéj, a w szklistych źrenicach zaświeciła i długim wilgotnym szlakiem po policzku mu popłynęła ciężka, mętna łza.

Długo potém, przez lat kilka może, niczego o Żmindzie dowiedzieć się nie mogłem. Ktoś nakoniec, przybyły z rodzinnych stron moich, zapytany przeze mnie o dawnego nadzorcę pocztowéj stacyi, powiedział mi, że słyszał, jakoby przez lat parę mieszkał on u przyrodniego brata swego, w szlacheckiéj okolicy Żmindów, poczém, zdaje się, iż go brat, a szczególniéj bratowa i dorastający ich synowie, dłużéj u siebie trzymać nie chcieli i z kilku na drogę danemi groszami w świat wyprawili. Być może zresztą, iż postępek ten szlacheckiéj rodziny, nieludzki wprawdzie, ubóztwem i przeludnieniem małego zaścianka wytłómaczyć by można było. Gromada w chacie liczna była, a wiadomo powszechnie, że grunta, należące do okolicy Żmindów, szczupłe są i nieżyzne... Coby się jednak ostatecznie stało ze Żmindą, nikt o tém nie wiedział. Tułał się stary przez czas jakiś po dawnéj drodze pocztowéj, przesiadując tu i ówdzie po dni kilka u różnych litościwych ludzi — potém zniknął... powlókł się kędyś w świat...

Niedawnemi czasy przedsięwziąłem był w prawnych interesach daleką podróż w głąb' kraju. Opuściwszy miasto, w którém mieszkam, jechałem wciąż dawną drogą pocztową, lecz zajechałem daleko, o mil kilkadziesiąt od rodzinnego mego miejsca, aż znalazłem się w głębi gubernii W.

Dzień to był zimowy, mroźny. Kochana, stara droga moja, i w tém miejscu także przybrana w dwa rzędy drzew starych i gęsto sadzonych, śnieżysto-białym, szerokim szlakiem biegła wśród równin, w dal niedościgłą okiem, aż pod sam skraj błękitnego nieba, na którém świeciło pogodnie blade słońce zimowe; drzewa, okryte puchem obfitych szronów, stały po obu jéj stronach, do nieruchomych opon, utkanych z koronek misternych, podobne, a wśród koronek tych iskrzyły się miliardy brylantów i wielkie stada zimowych ptaków z głośném krakaniem opuszczały na nie czarne swe skrzydła, i las jakiś, w półkole okrążający widnokrąg, ciemniał z dala nieruchomy, po-za białemi, równemi polami, nad któremi legło morze ciszy, żadnym nawet powiewem wiatru niezmącone.

Nagle, wśród ciszy owéj, do ucha mego doleciał i z krakaniem zimowego ptactwa w powietrzu połączył się srebrzysty, wesoły odgłos dzwonu. Po chwili nie mogłem wątpić, iż był to dzwon kościelny; jakoż i zobaczyłem niebawem, przy saméj prawie drodze, na dość wyniosłem wzgórzu zbudowany, niewielki, lecz śliczny jak cacko, kościołek.

Wkoło kościołka tłum, gwar, ruch był wielki. Droga przed nim napełniona była ludźmi, końmi, saniami. Zgromadzenie to wielkie i ożywione, w miejscu tak samotném zdziwiło mnie tém bardziéj, iż pamiętałem dobrze, że nie był to wcale dzień świąteczny, że zatem żaden zwykły obchód kościelny nie mógł być jego powodem.

Kościołek zaciekawiał mię swą niepospolicie piękną architektoniczną strukturą, przytém i konie moje potrzebowały chwilowego spoczynku. Wysiadłem więc z sań i wmieszałem się w tłum, ruszający się po drodze i wzgórzu.

Drzwi kościoła, wyniesione nad poziom kilkunastu szerokiemi, ozdobnemi wschodami, na oścież były otwarte. We wnętrzu widać było, przed wielkim ołtarzem stojące, liczne grono wytwornie ubranych osób, i kilku sług kościelnych, którzy z pośpiechem a starannością wielką, kończyli dokonywanie różnych jakichś przygotowań.

Domyśliłem się nakoniec, iż były to przygotowania do wspaniałego jakiegoś, całą okolicę zaciekawiającego, obrzędu zaślubin.

Z obu stron wschodów kościelnych, od góry ich aż do dołu, ciągnęły się dwa szeregi, zwabionych tu liczném zgromadzeniem, żebraków. Ale na najwyższym stopniu, u samego już progu kruchty kościelnéj, do białéj, zimnéj ściany bokiem i ramieniem przyparty, stał starzec, z białemi, jak mléko włosami, z twarzą żółtą, zgrzybiałą, wązkim, białym zarostem

okoloną. Twarz ta mignęła przede mną, jak niepochwytne widmo dalekiéj przeszłości... wkrótce jednak widmo uwyraźniać się zaczęło... zdawało mi się, że je poznaję... Byłże by to Piotr Żminda?

Tak, on był w istocie. Dłoń jego, na znak prośby o jałmużnę otwarta, zczerniała i do piersi przyciśnięta, trzęsła się mocno, trzęsła się téż i głowa jego, srebrno połyskująca pod padającym na nią, bladym blaskiem słonecznym. Krwisto zaczerwienione powieki jego na-pół były przymknięte; obwisłe blade wargi szeptały powoli słowa poplątanych pacierzy, a na całéj téj wielkiéj, żółtéj, zgrzybiałéj twarzy, spoczywała martwa cisza rezygnacyi, czy bezmyślności, bezdennéj zadumy, czy zupełnego snu czucia i myśli. Po chwili spostrzegłem, że miał on na sobie swój dawny mundur urzędnika pocztowego, ale rodzaj ten odzieży ja jeden już chyba tylko rozpoznać mogłem, na plecach bowiem rozpościerała się tam wielka łata sinego koloru, połowę, rękawa zastępowała płócienna szmata, i tylko z boku mdławo świecił zabłąkany guzik, niegdyś złocisty — kto wié? ten sam może, do którego drobną piąstką swą czepiała się niegdyś mała Salusia!...

Chciałem właśnie zbliżyć się do starego nędzarza tego, aby go powitać, gdy odtrąciła mię od niego wielka fala ludzi, w górę, ku wrotom kościelnym, płynąca. Byli to przybywający w téj chwili właśnie państwo młodzi, i wiodący za sobą liczną, strojną, szumną asystencyą ślubną.

Ujrzałem naprzód pannę młodą, mocno nieładną, i niezbyt już młodziutką, ale białemi koronkami opłyniętą, sobolowym płaszczem orzuconą, i postępującą w licznym orszaku drużek pięknych i strojnych. Za nią, w towarzystwie świetnych panów, z mirtowym bukietem u pętlicy fraka, w niedźwiedziéj szubie, z lekka na ramiona narzuconej, wstępował po wschodach pan młody... dawny téż znajomy mój... Walery Przyborski. Kilka lat upłynionych niewiele go zmieniły. Utył tylko bardziéj, więcéj trochę wyłysiał, na ustach miał wyraźniéjszy, niż dawniéj, zuchwały, sarkastyczny uśmieszek, lecz zawsze jeszcze uchodzić mógł za pięknego mężczyznę. Znalazłszy się pośrodku wschodów, przystanął na chwilę, wydobył z kieszeni sporą sakiewkę, w któréj z za przezroczystéj tkaniny przeświecały srebrne i złote monety i, rzuciwszy ją przed obsiadających wschody żebraków, wyniośle wyrzekł: „podzielcie się!" Poczém już śmiały, uśmiechniony, głośno z towarzyszami rozmawiający, przestąpił próg kościelny.

Wtedy na wschodach rozległ się wielki chór dziękczynień, błogosławieństw i pochwał; tłumy, zalegające dotąd wzgórze i drogę, wspinać się poczęły w górę, z wyrazem życzliwéj ciekawości na twarzach; w kościele pieśnią weselną zahuczały basowe akordy organu, mnóztwo świateł zapłonęło u ołtarza, przybranego w kobierce i kwiaty...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szara-dola

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Z różnych sfer, tom I, nakład i drul S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0654-2

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.